

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 8 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU

NR 41

TREŚĆ NUMERU: O ustrój szkolnictwa—*W. Prażmowska* Kobieta, która zdołała — *M. H. Szpyrkówna*. Wiersze: „Zabity w górach”, „Góry”, „Szczęście”, „Wieczorem”—*Marja Paulikowska*. „Księżna Łowicka” (c. d.) — *Adam Czartkowski*. Koszula Dejaniry c. d. (nowela) — *Herminja Naglerowa (J - a Stycz.)* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Paryż pod gwiazdzistym sztandarem — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z książek—*Z. M.* Z teatrów — *h. n.* (w zastępstwie). Coś niecoś o gentlemanach warszawskich i anglosaskich—*Han. Skar.* Jeszcze o morzu...—*W. D.* Hodowla winogron (c. d.)—*Zofja Lempicka*. Nowe sposoby konserwacji delikatnych warzyw — *inż. agr. J. Lentz*. Październik w gospodarstwie domowym—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Plisowane spódniczki—*Well*. Matinka na drutach. Poduszka trójkątna. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring*, autorzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

O USTRÓJ SZKOLNICTWA

Ukazanie się nowego projektu ustawy o ustroju szkolnym jest niesłychanie doniosłym zdarzeniem w naszym życiu społecznym. Szkolnictwo nie jest, bowiem, dziedziną życia, obchodzącą tylko pedagogów: zagadnienie ustroju szkolnego jest zagadnieniem politycznym w całym tego słowa znaczeniu. Nowy ustrój szkolnictwa może w krótkim przeciągu czasu przetworzyć stosunki społeczne w kraju, wywierając bezpośredni wpływ zarówno na psychikę mieszkańców, jak i na stosunki ekonomiczne państwa.

Szkoła wychowuje daną gromadkę młodzieży, — ustrój szkolny wychowuje całe społeczeństwo. Rozpatrzmy zatem nowy projekt szkolny na tle stosunków obecnych, zobaczmy, w jakim kierunku przetworzy on naszą strukturę społeczną.

Dzisiejszy stan rzeczy w szkolnictwie jest stanem chaosu. Mamy bardzo dobre szkoły różnych typów, wielu dobrych pedagogów; możemy całym szeregiem rzeczy imponować nawet zachodniej Europie; ale nie mamy żadnego planowego ustroju. Nasze szkoły różnych typów nie wiążą się ze sobą zupełnie, wiele z nich jest „ślepą ulicą”, z której do innej szkoły wyższej przejść nie sposób.

Rezultat tego widoczny aż nadto. Lekceważenie szkoły powszechnej przez znaczną część społeczeństwa niweczy wysiłki władz szkolnych, zmierzające do podniesienia poziomu szkolnictwa powszechnego. Przyczyną tego lekceważenia jest to właśnie, że szkoła powszechna pozostaje dotąd w większości wypadków ową „ślepą ulicą”, skąd tylko do nielicznych typów szkół dostać się można. Jedyne prawa w spo-

łeczeństwie daje dziś matura i szkoła średnia weszła w modę. Oczywiście, znaczny odsetek młodzieży do wymagań umysłowych szkoły średniej dociągnąć się nie może — opuszcza ją przed ukończeniem, powiększając zastępy tak szkodliwych społecznie wykołajców życiowych. Reszta młodzieży kończy szkołę średnią i, idąc po linii najmniejszego oporu, zapełnia uczelnie wyższe, nie mając w większości wypadków ani zamiłowania, ani zdolności do studjów wyższych. Ta dysproporcja między ilością szkół ogólnokształcących, a zawodowych, tak charakterystyczna dla naszego kraju, jest źródłem wielu niedomagań społecznych i ekonomicznych. Szkoły zawodowe były jednak dotąd również tą „ślepą ulicą”, skąd na forum uczelni wyższych dostać się nie było można.

Nowy projekt ustawy jest w swej koncepcji czemś tak prostym, że przez to samo niemal genialnym. W trzydziestu trzech punktach zaledwie, a więc w bardzo ogólnikowych zarysach, rozwiązuje ta ustawa cały trudny problem szkolnictwa. Oczywiście, sama ustawa nie przesądza jeszcze całego szeregu doniosłych spraw, które będą rozstrzygnięte przez osobne ustawy; ale objaśnienia, wydrukowane za tekstem ustawy, pozwalają nam domyślać się, po jakiej linii pójda te zarządzania dodatkowe.

Zasadniczą linią projektowanego ustroju szkolnictwa jest to, że „otwiera on dostęp do wszelkich szkół zdolnym i dzielnym jednostkom z wszelkich środowisk społecznych”. Jest zatem ustrojem w całej pełni demokratycznym, a równocześnie zapewnia możliwość doboru jednostek najlepszych.

Podstawą wykształcenia najszerszych mas ma być 7-klasowa szkoła powszechna, do której dziecko wstępuje we wrześniu tego roku, w którym kończy lat siedem. Dla dzieci wyjątkowo zdolnych i rozwiniętych fizycznie można tę granicę obniżyć do lat sześciu. Szkoła powszechna nie będzie jednak tą szkołą ludową, gdzie jeden nauczyciel uczył wszystkich przedmiotów, nie umiając przez to wzbudzić wśród uczniów żadnych zainteresowań naukowych. W czterech niższych klasach nauczanie będzie skupione w rękach jednego nauczyciela; trzy wyższe klasy otrzymają nauczycieli-specjalistów. Jest to, oczywiście, najlepsze rozwiązanie, gdyż powierzenie lekcji w jednej z niższych klas paru nauczycielom (podwstępna i wstępna klasa w wielu dzisiejszych szkołach średnich) uniemożliwia jednolitą pracę zarówno nad wychowaniem, jak nad nauczaniem dzieci.

Ustawa przewiduje obok szkół najwyższego stopnia organizacyjnego, czyli takich, gdzie będzie odpowiednia liczba nauczycieli, pozwalająca na prowadzenie 7-miu klas,—szkoły niższego stopnia. Chodzi tylko o to, aby umożliwić wszystkim dzieciom dostęp do szkół wyższego stopnia. Prowadzone w tej dziedzinie gruntowne studia wykazały, że przy przyjęciu warunku, iż maximum odległości zamieszkania dziecka od szkoły wynosi 3 km., przy ustalonej sieci szkolnej 38,67% dzieci będzie się kształciło w szkołach 6-cio i 7-mio klasowych, 50,97% — w szkołach 3-5 klasowych, 8,09% — w szkołach dwuklasowych i 2,27% w szkołach jednoklasowych. Statystyka powyższa nie obejmuje zupełnie dzieci miejskich, dla których, oczywiście, dostęp do szkół wyższego stopnia jest ułatwiony.

Przy zorganizowaniu zaś dowożenia sytuacja zmieniłaby się bardzo na korzyść, gdyż przy zwiększeniu odległości do 4 km., obliczenia wskazują liczby następujące: 74,19% do szkół 6-cio i 7-mio klasowych, 23,79% do szkół 3-5 klasowych, 1,48% do szkół dwuklasowych i wreszcie zaledwie 0,54% do szkół jednoklasowych. Dla młodzieży, która wychodzi ze szkół powszechnych i nie wstępuje do innych, przewiduje ustawa obowiązek dokończania się na specjalnych kursach do 18-go roku życia.

Młodzież, która ukończy szkołę powszechną najwyższego stopnia, może iść bądź do szkolnictwa średniego ogólnokształcącego, bądź do szkolnictwa zawodowego. Młodzież ta nie podlega egzaminowi, może być jednak przyjęta dopiero po sprawdzeniu kwalifikacji, co, jak samo ujęcie wskazuje, ma być czemś odrębnym, niż dotychczasowe egzaminy. Natomiast ta młodzież, która skończy szkoły powszechne niższego stopnia, może być przyjęta do szkół średnich i zawodowych na podstawie egzaminu. Przewiduje się też przy szkołach roczne kursa przygotowawcze dla tej młodzieży. Nie wątpimy, że system ten będzie najlepszym czynnikiem, przekonywującym samorządy wiejskie o konieczności tworzenia jaknajlepszych szkół powszechnych.

Szkoły średnie ogólnokształcące mają być dwóch typów: pięcioletnie (dzisiejsze tak zwane wyższe gimnazjum) i trzyletnie (coś w rodzaju liceum w dzielnicach zachodnich). W miarę zatem podnoszenia się poziomu szkół powszechnych będą zamykane dzisiejsze niższe klasy szkół średnich. Ustawa przewiduje tu powolną ewolucję, co przekona, myślę, przeciwników szkoły jednolitej. Ponieważ szkoły te będą, jak obecnie, różnych typów: matematyczno - przyrodnicze, humanistyczne i klasyczne,—moment zdecydowania się na tę, czy inną podstawę wykształcenia przypadnie na wiek lat 13—14 (ukończenie szkoły powszechnej). Dotąd zaś, choć różnicowanie typów następowało od 4-tej klasy gimnazjum, przecież praktycznie rodzice musieli się na dany typ gimnazjum decydować, oddając dziecko do pierwszej klasy. Program szkoły średniej ma być ułożony tak, aby młodzież, opuszczająca szkołę po trzech latach, miała pewien całokształt przygotowania do studjów dalszych.

Szkoły i bursy zawodowe pod względem wymagań od kandydatów dzielą się na dwie kategorie: jedne przyjmują młodzież ze szkół powszechnych, drugie—po ukończeniu trzech lat szkoły średniej. W obu wypadkach kandydaci podlegają sprawdzeniu kwalifikacji.

Szkołami wyższymi będą bądź szkoły przyjmujące kandydatów, mających ukończoną szkołę średnią, bądź też szkoły conajmniej trzyletnie, przyjmujące młodzież z trzyletniej szkoły średniej.

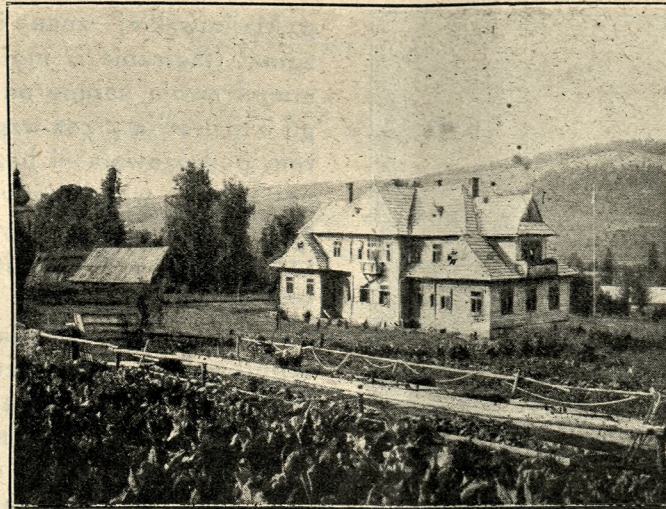
Do szkół akademickich może być przyjmowana młodzież bądź ze szkół średnich, bądź też na poszczególne wydziały z odpowiednich szkół zawodowych. Szkoły akademickie mają prawo wprowadzenia egzaminu wstępnego, co, moim zdaniem, powinno jaknajrychlej wejść w życie.

Ważną również rzeczą jest zniesienie dotychczasowych seminarjów nauczycielskich, a kształcenie nauczycieli na kursach pedagogicznych conajmniej rocznych, przyjmujących kandydatów z ukończoną pięcioletnią szkołą średnią. Podwyższy to stanowczo poziom ogólnego wykształcenia nauczyciela szkoły powszechnej,—czy jednak roczne kursa pedagogiczne pozwolą na takie wychowanie ideowe i społeczne, jakie dotąd otrzymywała młodzież w większości seminarjów — nie wiem.

Ustawa, przewidująca wogóle powolne tempo dla wprowadzania zmian i w tym punkcie jest bardzo łagodna dla dotychczasowych form, gdyż przewiduje utrzymanie części seminarjów nauczycielskich, dopóki przewidziane kursa nie będą dostarczały potrzebnej liczby nauczycieli.

Reasumując swe wywody, stwierdzam, iż nowa ustawa jest dowodem zdrowej i realnej polityki naszego ministerstwa Oświaty, a jej anti-formalistyczny charakter dowodzi, że zbiurokratyzowanie naszych władz oświatowych nie dotknęło czynników kierowniczych.

W. Prażmowska.



Cisowy domek p. Małkowskiej w Czorsztynie
 fot. St. Sedlaczek

M. H. SZPYRKÓWNA

KOBIETA, KTÓRA ZDOŁAŁA

Mea culpa! Uniesienie zaćmiewa trzeźwość myśli. Mój artykuł z pod Giewontu z tego względu był niewątpliwie raczej zaćmiony: na wszystkim widziałam czarne plamy. Ale dobry przypadek lituje się czasem nad takim zacietrzewionym pesymistą, bierze go za rękę i, ukazawszy z nagłą coś miłego, ciekawego i niezwykłego w miejscu, gdzie dotąd śleziennik widział tylko same minusy, — powiada:

— Uważasz? Nie wszystko znowu jest takie złe. Tylko że dobro, jak fiołek, kryje się w cieniu, i trzeba je dopiero wypatrzyć, a zło, jak łopuch, wypycha się samo przed oczy. Zakonotuj że to sobie i na przyszłość weź pod uwagę.

Tak oto było i ze mną. Pesymizowałam właśnie na tle zakopiańsko-letniskowych, mieszcuchowsko-snobistycznych kolizyj i wierzyłam, że świat (ten letniskowy właśnie) zaczyna się w kawiarni „Morskie Oko” na Krupówkach, a kończy się w restauracji „Morskie oko” nad Morskim Okiem. Aż tu nagle, podczas wycieczki do Czorsztyna, stał się dramat automobilowy: zatrzymanie, naprawianie, informowanie się, gdzieby, jakby, skądby, coby — i w ostatecznym wyniku wpadliśmy najniespodziewaniej do najdziwniejszej oazy na pustyni naszej — niebogatej w ośrodki kultury — zakopiańszczyzny: do zakładu p. Małkowskiej, poświęconej sprawie wyszkolenia skautowego.

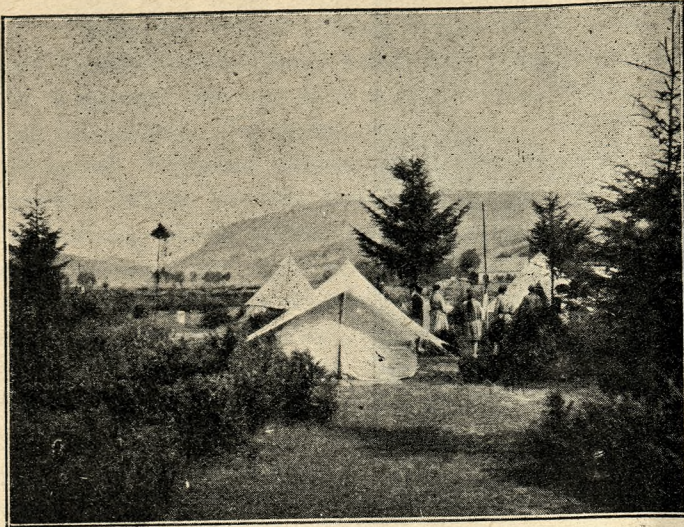
Nie zamierzam tu wcale podnosić opisowo watorów, czy też, ewentualnie — braków tego, co p. Małkowska stworzyła. Osobom, obznajmionym ze skautingiem w Polsce, znanym jest jej nazwisko, jako jednej z pierwszych i gorących pionierek tego ruchu.

Osobiście uderzyła mnie radością i skrucą zasadą, o której praktycznym wprowadzeniu w życie u nas wątpiłam w jednym z poprzednich artykułów: zasada wychowania społecznego.

— Chcę dać możność skautkom, kończącym szkołę, a wchodzącym w życie — możność zastosowania zasad w codzienności, ażeby nie pozostały tylko teorią. Postulaty teoretyczne, które wyznajemy, streszczałyby się najogólniej w trzech nakazach:

- służenie bliźniemu;
- służenie narodowi;
- służenie Bogu.

Bliźnim jest, oczywiście, każdy człowiek na świecie; naród jest najkrewniej z nami związanym zrzeszeniem bliźnich; służba Boża obejmuje szereg postulatów etyki i pracy wewnętrznej nad udoskonaleniem własnego ducha. Ale jest różnica, jest wielka różnica pomiędzy wiedzą o cnotce, czy też służeniu, a zastosowaniem jej w życiu! Życie stawia nas w ustawiczny kontakt i konflikt z ludźmi — i załatwianie najpomysłniejszych tych konfliktów, zadziergnięcie najdoskonalszego kontaktu — jest to już umiejętność — która, o ile nie jest darem zgóry, wyrabia się tylko praktyką. Tę właśnie praktykę życiową postulatów skautingu chcę dać naszym dziewczętom — i zdaje mi się, że jestem na dobrej drodze! Uczymy się na wsi, wśród zwykłego trybu, w stosunku do szarego, przeciętnego człowieka stosować nasze małe zdobycze kulturalne i duchowe: i zasady miłości bliźniego, i zasady czystości w domu, i coś z koniecznej etyki, i coś z codziennej estetyki. Wierzę przytem, że



Obóz skautowski w Czorsztynie

fol. St. Sedlaczek

piękno natury sprzyja bezmiernie wszelkiemu dobremu poczynaniu. A ktokolwiek zna Czorsztyn i jego okolice, zrozumie, że udało mi się zaanektować skrawek najśliczniejszego, samotniczego piękna, jakie mamy. Tak sobie właśnie ongiś uplanowałam—no i widocznie czasem jednak i marzeniom sądzonem jest ziścić się i ucieleśnić: mamy już szkołę, zakładamy dom ludowy, spółdzielnię, czytelnię, — a już nie mówię narazie o tem, co jest tylko w projekcie!

Ktokolwiek interesuje się poczynaniami tego typu, niewątpliwie zdoła zasięgnąć bardziej źródłowych informacji, bodaj pisemnie (p. Małkowska, Czorsztyn); nie miałam na to w danej sposobności ani czasu, ani sposobu; kataloguję tylko poniekąd sam fakt, jako recenzent, nie wdający się w meritum sprawy. Rzeczy społeczne w ich technice nie są mojem właściwem *emplo*i. Natomiast, jako belletrystkę i autorkę, a zwłaszcza — jako nieposkromioną docieraczkę pewnych pogłębień psychologicznych, któremi się warunkuje wpływ myśli na fakty realne: — nie mogę pominąć bez najpobieżniejszej bodaj wzmianki dróg, jakimi pierwotne „marzenia“ p. Małkowskiej oblekły się zwolna w żywe ciało.

To, co tu piszę, słyszałam od osób trzecich, możliwe zatem, że nieściśle. W ogólnych jednak rysach pochyby nie może być. Piszę dlatego, że mam gorący podziw zawsze dla kobiet, które potrafią nad własną tragedją przejść w ten sposób, że nie zamykają się w krwawem od bólu sercu własnem, a świat im służy, tylko przeciwnie—wychodzą z tego krwawego serca, aby światu służyć. Nie pamiętam dokładnie jak, ale bodaj, że w czasie wojny mąż

p. Małkowskiej—znany i ceniony wysoko społecznik—zginął tragicznie i, możnaby rzec, fatalistycznie: zamienił swoją kabinę na statku z jakąś kobietą, która go o to prosiła przez wzgląd na wygodę dziecka, z którem podróżowała—i bezpośrednio potem do tej jedynej kabiny wpadł jedyny granat i zabił p. Małkowskiego na miejscu. Wygląda na predestynację — ale czy serce boli mniej, jeśli poraża je nóż, zawczasu przygotowany?

Nie mam pojęcia, jak obecna kierowniczka szkoły skautowskiej w Czorsztynie walczyła z tem, co ją spotkało, i jak zwyciężała oporną wolą los. Ale wiem, że zwyciężyć musiała, nawet fizycznie. Pomijam, że powierzchownie jest to dziś śliczna, opalona, prawdziwie „sportowa“ kobieta, tak daleka od szminki i wymyślności, jak Czorsztyn jest daleki od „salon de beauté“: góry i mają i dają swoje odrębne piękno słońca, siły i żywicy. Ale ze słów jej własnych wiem, że przebyła dość długo zagranicą w sprawach społecznych, a w Anglii specjalnie studjowała skauting—i nawet w czasie wojny była jedyną cudzoziemką, której pozwolono kierować oddziałem skautek.

I oto wychodzi na scenę zawsze fascynujące mnie, wiekuiętą ścigaczkę Przygody przez wielkie P, *Deus ex machina*: p. Małkowska spotyka się, poznaje, a dalej — zaprzyjaźnia się na długie lata, bo aż do dziś, gdy je spotkałam na Krupówkach razem—z angielską, jedną z fantastycznych, powieściowych angielskich ze złotemi kopalniami w Australji i wszechludzkiemi ideałami w walizce: i cud się dopełnia. Angielska miss przyjeżdża do Polski, bo chce poznać kraj, „który ona aż tak potrafiła kochać“, jak powiada sama o p. Małkowskiej. I czy kraj jest tego wart, czy też warta jest tego owa jedyna polka, którą poznała: dość, że australijskie kopalnie złota wersują pewne fundusze na wykup kawała twardej gleby podhalańskiej; i oto staje dom, i oto robi się szkoła; mundurki skautowskie podnoszą ku górze swoją chorągiew widzialną i niewidzialną—i pod ruinami malowniczego Czorsztynu dźwiga się nowy, młody ośrodek pracy, twardej i szarej, jak gleba, z której powstała — ale jak ona — mocnej. A cokolwiek jest i cokolwiek jeszcze tam będzie — wynikało z wysiłku jednej dzielnej kobiety, która — w co wierzę — potrafiła kiedyś pomyśleć o czemś tak mocno, że okoliczności same przyszły ku niej, zniewołone, i ułożyły się w kształt, jaki im nadać chciała. Niech żyje potęga myśli! Czyż nieprawda? Czyż nie cudowną jest ta zdolność kształtowania życia? To jest właściwą tezą dzisiejszego mego artykułu — bo wieleż kobiet mogłoby tworzyć cuda, gdyby tylko wierzyły, że — że je tworzyć mogą!...



MARJA PAWLIKOWSKA

ZABITY W GÓRACH

*Trawo, trawo zielona! byłaś mi kołyską!
Żeby wysoko wlecieć, trzeba upaść nisko!*

*Aby dostąpić nieba, trzeba pójść na turnię,
odpaść od niej i kozła wywinąć poczwórnie!*

*Trawo, omawiająca wspólne nasze sprawy!
Tylko nieżywi wiedzą, o czym myślą trawy!*

*Szeptają kości do czaszki, która obok leży:
„Niceśmy nie wiedziały, że słodko jest nie żyć...”*

GÓRY

*Jak ciche są te góry, gdy leżą pod śniegiem
zaszyte w biały całun kosówkowym ściegiem.
Choć na pozór nieżywe, są tylko w letargu.
Czasem wstrząsną się, z piersi zrzucą stopy piargów
i przeciągną się we śnie. Wówczas, jak garść liści,
spadają z nich najlepsi, najpierwsi turyści.
Towarzysze ich potem zaszywają w płótno
i niosą w dal, w niziny, ścieżką bladą, smutną...*

SZCZĘŚCIE

*Nie wiem, nie wiem, co komu uczyniło złego
słodkie szczęście tych moich ostatnich tygodni.
Czy zostało przeklęte? za co i dlaczego,
skoro nie popełniło grzechu, ani zbrodni?*

*Wiem tylko, że ma wrogów. Wiem, że jest skazane.
Że odrzucono prośbę o ulaskawienie,
i że dzisiejszej nocy, zbudzone nad ranem,
wyda ono ostatnie słodkie swoje tchnienie.*

*A te klomby tytoniu, rezed i geranium,
całe w blaskach księżycy i w rosach świętecznych —
to bukiet, który ziemia składa w pożegnaniu
temu, co płacząc, idzie na spoczynek wieczny...*

WIECZOREM

*Gwiazda siadła na ganku w obłocznych pałacach,
— podniosły się tytonie, dotychczas nieczułe...
Nietoperz, jak bumerang, wyleciał i wraca —
już ich sześć krąży wkoło, fałszywych jaskółek.*

*— Gwiazda schodzi po schodach, szuka towarzysza —
— na plecach nietoperza jeździ wkoło cisza...*

ADAM CZARTKOWSKI

KSIĘŻNA ŁOWICKA*)

2

II.

KONKURY CESARZEWICZA

Gdy burza 1812 r. przewaliła się nad polską ziemią i po dwóch latach przycichła na Zachodzie, a panny Grudzińskie z Popowa w Poznańskim, gdzie się schroniły przed wojną, powróciły nad Wisłę,—jesienią 1814 r. zjechał do Warszawy, w drodze na rozpoczynający się kongres wiedeński, w ks. Konstanty Pawłowicz, brat „Anioła“, „Odnowiciela Polski“ — Aleksandra I, a cesarzewicz, t. j. następca tronu najpotężniejszego podówczas w Europie państwa.

„Miał bawić u nas kilka dni, tyle przecie znalazł powabów, że przez blisko dwoje niedziel zatrzymał się, oświadczając, iż nigdzie lepiej się nie bawił. Czas jego dzielony był między pracę ranną w Komitecie Wojskowym i wojska naszego musztrę, wieczory zaś w towarzystwie, czasem na balu spędzał... Na przejażdżkach zawsze tylko z naszą młodzieżą, w tańcach — z naszymi kobietami, Polkami“...

A znał je już dobrze i z Petersburga i z ukraińskich niegdyś województw polskich, gdzie, jako inspektor kawalerji, bywał i długo gościł. Znał je nie tylko z rozmów, lub tańców: znał je z gorących uczuć, które już dwa razy Polki w sercu mu wznieciły. W 1800 r. oczarowały go wdzięki księżniczki Heleny Lubomirskiej z Równego; w dwa lata później inna polska księżniczka, Janina Czetwertyńska, zawładnęła wszystkimi fibrami jego duszy. Wszak nawet o zaślubieniu jej zamyslał, i tylko srogie *vetó* matki i brata stanęło temu zamysłowi na przeszkodzie i rozwiało ten słodki, czysty sen. Utonął potem w brudnych amorach i wpadł w sidła ambitnej ex-szwaczki francuskiej, Friedrichsowej, co, dawszy mu nieślubnego syna, darła z niego skórę do tego stopnia, że nieraz nawet munduru sobie nie miał za co sprawić... W błocie jednak stale przebywać nie mogą nawet zamieszkuje je płazy i od czasu do czasu muszą na świeże i słoneczne wylazić powietrze, pociągały więc Księcia,—w którym piękne i potworne cechy, zarówno fizyczne, jak moralne, dziwnie zmieszane były,—czyste postacie i dusze Polek. Dlatego w nich podobał i z nimi lubił przebywać.

Na jednym z balów spotkała go Żaneta i oto co pisała wkrótce do ojca na wieś: „Wielki Książę... jest nader grzeczny, i ani tak brzydkim, ani tak strasznym, jakem go sobie wystawiała. Mówi z damami, tańcuje dosyć, miałam także to szczęście kilka razy. Stara się, aby dać zapomnieć wysokość stopnia swego“...

Jeśli on nie wydał się jej tak strasznym, ona musiała mu już wówczas wpaść w oko, skoro kilka razy



Ks. Łowicka według miniatury Sonntaga

z nią tańczył; w każdym razie w parę miesięcy potem na balu u ks. Wirtemberskiej po przetańczonym gawocie na dobre się nią zainteresował. To też kiedyś później powiedzą dowcipnisie warszawskie, że wślizgnęła się do jego serca w figurze gawota.

W parę dni po wspomnianym balu na zabawie dla dzieci u Zamoyskich, darmo Ks. Wojewodzina Wileńska zwracała uwagę „Hurluburła“ na dygającą przed nim swą wnuczkę: Wielki Książę był cały zapatrzony w tańczącą Żanetę i z trudnością oderwał się od tego widoku. Widocznie rozdrażnione jego nerwy koł obraz tej delikatnej, o pastelowych barwach, pełnej cudnej harmonji w ruchach istoty. I „Monstrum“ zaczęło śnić o tej dobrej wróżce, zaczęło szukać jej towarzystwa, zaczęło przygotowywać sobie do niej drogę.

Nie było mu to trudnem. Za jego wstawiennictwem Brat-Cesarz mianował p. Brońca marszałkiem królewskiego dworu z mieszkaniem w Zamku i znakomitą pensją, a pannę Żanetę—jedną z sześciu pannen cyfrowych. W ten sposób ułatwione zostało widywanie się Konstantego z Żanetą, bez zwrócenia na to uwagi ogólnej. Dziwiono się, coprawda, nagłym łaskom cesarskim dla p. Brońca i jego domu; tłuma-

czono je sobie jednak umiejętnością jego zabiegów o względy i pozyskiwaniem sobie ludzi potrzebnych przy pomocy Lukullusowych obiadów i kolacyj. Bo nikomu nawet nie przyszło do głowy, że Cesarzewicz może się zakochać w pannie Grudzińskiej.

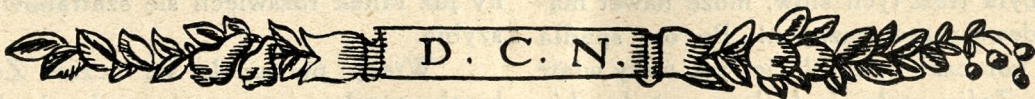
Tymczasem jednak nici między Cesarzewiczem a dobrą jego wróżką nawiązywały się coraz bardziej, Coprawda panna początkowo nie bardzo lubiła umizgi „niedźwiedzia“; powoli jednak, spotykając go to na balach, to u pani wojewodziny Gutakowskiej, to w Zamku, zaczęła skłaniać się ku niemu. Nie zmieniła jednak swego postępowania wysoce taktownego i niczem nie zdradzała tego, co dojrzywało. Trzeba przyznać, że rzadko która kobieta potrafi tak umiejętnie zachować się w tak trudnem położeniu i wciąż kilku lat niebezpiecznych konkurów niczem nie narazić swej opinji. Naprawdę trzeba mieć mocne zasady i wiele rozsądku, by tak się zachować, jak panna Żaneta. I to tem bardziej, że matka bardzo sprzyjała cesarzewiczowskiemu zabiegom i napewno nie miałaby za złe córce, gdyby jawniej i goręcej przyjmowała hołdy Księcia. Ale panna Żaneta zdawała sobie znakomicie sprawę, że najmniejsza wiadomość o konkurach Konstantego rzuciłaby na nią tylko brzydki cień i tylko o stratę przyprawiłaby mogła. Przecież, pomijając związek jawny z Friedrichsową, był on żonaty! Coprawda, od 1801 r. nie żył już z żoną, w każdym jednak razie rozwiedziony z nią nie był. Cóż w tych warunkach czekać ją mogło? Najwyżej los no-

wej kochanki Cesarzewicza... Ale to nie mogło odpowiadać pannie z dobrego rodu i prawdziwie moralne posiadającej zasady. Kryć się więc raczej było potrzeba z tą pasją nieobliczalnego konkurenta i trzymać go w przyzwoitej odległości. Żaneta niczem go tedy nie ośmielała i przez cały czas konkurów nie przyjęła od niego najmniejszego nawet prezentu.

Taka droga zresztą okazała się najodpowiedniejszą i z innego względu. W. Księżę, widząc, że ma do czynienia z kobietą cnotliwą i czystych obyczajów, taktowną i życiowo mądrą, nietylko nie ochłodził, ale, odwrotnie, rozgorzał najgorętszem dla niej uczuciem, któremu wciąż towarzyszył największy szacunek. Wszak wizyty wieczorne u Brońców odbywały zawsze przystrojony we wszystkie swe ordery.

Wreszcie powziął postanowienie zerwania z Friedrichsową i ostatecznego uregulowania sprawy swego małżeństwa. Jesienią 1819 r., gdy Aleksander bawił w Warszawie, zwrócił się do niego z ponowną prośbą o rozwód i o zezwolenie na małżeństwo z Joanną Grudzińską.

Cesarz zgodził się, zażądał jednak podpisania aktu, że dzieci, z tego małżeństwa zrodzone, nie będą miały prawa do tronu. Zabolalo to bardzo Konstantego, ale usłyszawszy z ust Żanety, że nie dba o tytuły, tylko o niego samego, zgodził się na żądanie brata i w listopadzie tegoż roku, podczas pobytu nad Nową, podpisał odpowiedni dokument i uzyskał pozwolenie matki na zamierzony ożenek.



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

2

KOSZULA DEJANIRY

(nowela)

Szary tuman świtu napełnił powietrze dusznym zapachem karbolu i nudną ckliwością przywarł do bladych ust Zofji. Serce Romana żyło jeszcze, karmione kamforą. Od czasu do czasu odchyłały się też powieki, ukazując niestrudzony obrót źrenic, nieprzytomnie umykających pod sklepienie czaszki.

Zofja wplątała się w cierpienia Romana, jak obca, bezbarwna niteczka w jaskrawą tkaninę. Krzątała się pełna dobrej woli i wmawiała w siebie, że ścisłość w spełnianiu nakazów lekarza jest ponad wszystko potrzebna. Odmierzała czas od jednej dawki lekarstwa do drugiej. Grzechotanie lodu w ceratowym woreczku miało bezwzględnie kojące

zamiary. Poduszki, podsuwane pod głowę chorego, nabrzmiewały samarytańską usłużnością. Rozliczne zajęcia mnożyły się, pędząc ją od łóżka do stolika, od stolika do łazienki. Ledwie na chwilę przysiadła zadyszana na krześle, usiłując bodaj echem przeschęścić w siebie cierpienia Romana. Daremnie. Wszystko było w niej zdrowe i trzeźwe, gotowe jedynie do najniższych służb. Czula, że przeciwstawia się choremu siłą dźwigających ramion, ruchliwością nóg, spokojną pracą mózgu. Szept jej litościwych słów nie znajdował sposobu porozumienia się z jego jękiem, czy z obłędem bulgotaniem jakichś okaleczających wyrazów.

Przedewszystkiem jednak przejmowało Zofję głęboką troską kategoryczne oświadczenie lekarza, że Romana trzeba corychlej, bodajże natychmiast, przewieźć do szpitala epidemicznego. Niepojęta choroba Romana wiodła więc w labirynt coraz bardziej zawiłych spraw.

Tymczasem jednak, po nowem zastrzyknięciu kamfory, Roman obudził się lekko i niemal bezboleśnie. Żrenice spoglądały z przytomnością, przybyła jakby zdaleka. Słowa przerażały prawie spokojem i zrozumiałością. Poprosił o papier i pióro. Skrzywienie zabzdyczało w pokoju, jak skrzydło muchy, wijące się w agonji. Wśród tego szeptu owionął Zofję tajemniczy lęk przeczucia.

— Testament—powiedział Roman i uśmiechnął się bezradnie.

Chciała zawołać: — Poczaj—ale natychmiast pojęła błahość tego pytania, niewspółmiernego ze świadomością, tkwiącą już w niej głęboką wagą prawdy. Powieki Zofji bezwiednie ukryły zdradzającą się błagalną niemoc trwogi.

— Testament—powtórzył chory—Przebac mi, że tak się stało.

A potem, grzęznąc już ciężką głową w poduszkę, dodał:

— Legat dla Heleny Zbyszewskiej. Spełnij wszystko tak, jak rozporządzam. Chciałem być szczęśliwy i nic nie wiedzieć o jej nieszczęściu. A tak widocznie nie należało. Teraz rozumiem, że nie należało...— Jakże obojętna była treść tych słów, może nawet mądrych, może nadewszystko ważnych! Bo oto spadła na nie przemoc gorączki i zmiotła je, jak żółty wiatr pustyni. Wtedy Zofja stała się Heleną, wtedy obie stały się czarną, srogą chmurą. Serce wyrwało się z więzów, szarpnąwszy ogromem całego ciała. Wargi strząsnęły z siebie oddech. Z pod trzepocących się powiek wybiegły dwie żywe kulki łez i, spłynawszy na dwie strony, wsiąknęły prędko i nieznacznie w poduszkę.

Dnie, które potem przysły dla Zofji, toczyły się ciężko, jak wysoko naładowany wóz. Trzeba było utrudzać się wszelakimi sprawami, wystawać w urzędach kościelnych i świeckich, załatwiać smutne rachunki z zakładem pogrzebowym. Wreszcie trzeba było podążyć obcym brukiem nieznanego miasta, przez wysoką, żalobną bramę, po chropawej ścieżce cmentarza, w zielonem omamieniu wiosennych drzew, wśród plam jaskrawych kwiatów i szarych cieniów grobowców, — aby na skraju dołu wdeptać się nogami w świeżo usypany zwal gliny. Ziemia wykruszyła się z małej garści na garbate wieko trumny.

Zofja przez cały ten czas odczuwała jedynie despotyczną celowość dokonywanych czynności. Poświęcała się im poważnie, w skupieniu, pełnem szacunku dla ich koniecznej niezbędności i dla siebie samej, spełniającej te ważne zadania. Umiała tak każdą niemal chwilę obciążyć precyzyjnie wykonywanym obowiązkiem.

Po pogrzebie zrzędził jednak nawał pracy i na stały godziny samotnych rozmyślań. Ziewały w nich długie pauzy pustki, łzawiła się w bezsilnym płaczu gorącz. Czasem przyplątywała się ułudnie dawność, nasiąknięta jakby żywym jeszcze oczekiwaniem. Wtedy okazywało się, że można tak łatwo zapomnieć, zapomnieć na krótką bodaj chwilę o prawdzie oczywistej i przechadzać się pewnym krokiem wśród spraw, które już nie będą. Zlatywał z twardej bieli hotelowego sufitu pocałunek i wpijał się w usta, gorące od płaczu. Z przestrzeni, mgławicą się przed załzawionemi oczyma, wychylały się zachłanne objęcia ramion. Ale godzina uciekała, goniona wyznaczonym obowiązkiem, który zastawał już Zofję gotową i posłuszną do załatwiania spraw, związanych z powrotną podróżą.

Wreszcie, złożony na grobie bukiet czerwonych róż zdawał się zamykać ten przedziwny okres w życiu Zofji. A tej samej nocy nieprzytulna poduszka sleepingu wykołysała najwewnętrzniejszą jej spowiedź.

— Wracam do siebie — było finałem tych zwierzeń.

Wstający dzień przebiegał już szarą taśmą po szybie wagonu, wełnił się blade zaróżowionym dymem na uciekających polach. Jak po burzy robiło się cicho i jasno w myślach Zofji. Przesłonięty kurzawą chmur krajobraz rozpostarł się znowu na szerokiej płaszczyźnie.

— Wracam do siebie!—powtórzyła Zofja, a jasny już ranek rozświetlił się szafranowym blaskiem na szybie.

Wtedy podsunęła się oczom Zofji zapomniana kartka tytułowa, zaczętej, a tak zdradziecko porzuconej rozprawy o Maćku Borkowicu, pierwszym konfederacie polskim. Objawiły się masywne kształty starych foljałów, a sam dostojny podkanclerzy Janko z Czarnkowa wysunął się z ciasnych uliczek clarissimae urbis i szedł, nie śpiesząc się. Na jego poważnem obliczu, pokreskowanem sownie zwyczajem sztycharskim, głębokie brózdki wiedzy znaczyły nade wszystko ukochaną przeszłość.

I tak wracała Zofja wistocie — do siebie. Przyjmowała ją zpowrotem spokojna, cicha i wdzięczna dziedzina, kędy mieszka lilipuci ludek drukowanych i pisanych słów. Ludek tak mnogi i mnożący się, jak biblijny piasek w morzu. Nie będzie więc już teraz, jak mały ptaszek, spijać kropelki wody i myśleć, że jest szczęśliwa, ale wydziobie skrzętnie owe ziarenka liter, aż do nasycenia, aż do zapamiętania.

I kiedy kładła na głowę czarny kapelusz, obciążony płachtą żalobnej krepy, przechyliła wtył głowę ruchem niemal wyzywająco zwycięskim.

W mieszkaniu męża, które miało być ich wspólnym domem, założyła swoje gospodarstwo na dużem biurku. Tam to, niby Faraon, budowała wysokie piramidy książek, a kartki papieru zalegały białem listowiem połać szarego sukna.

W głowie, pochylonej w żarliwym nabożeństwie nad owym piaskiem liter wszelakiego kształtu i rodzaju, — zamieszkał stary, nieszkodliwy już świat Wielko-Kazimierzowych czasów. Zofja skrzętnie i przemyślnie zestawiała nadwerężone przez wieki ułamki wiadomości, aby powiązać je w całość, udającą jako tako prawdopodobieństwo minionego bytowania ludzi i ich spraw.

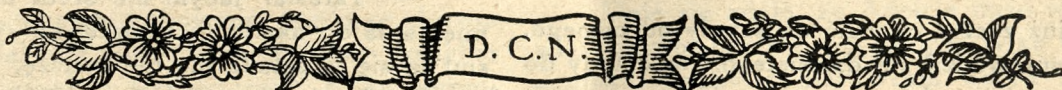
Odwieczny opozycjonizm Wielkopolski kładł się więc wpoprzek centralistycznym planom ostatniego Piastowicza na tronie i wywoływał w umiarkowanym, rozumnym i rozważnym sercu króla okrucieństwo, odziedziczone po pradziadku Konradzie Mazowieckim. I tak z intuicyjnie modelowanej przeszłości wypływała pewność straszliwego wyroku i ponad wszystko okrutnej śmierci buntownika i zdrajcy Maćka Borkowica. Głód szczyrzył zęby dzikiej bestji i kładł ciężkie łapy na niemocne już ciało nieszczęśnika.

Ta odległa wędrówka wyobraźni odrywała Zofję od spraw, łączących się jeszcze ze śmiercią Romana. Zajęli się niemi usłudźni krewniacy, rządźili wedle woli jacyś mecenasi i rejenci. Z ubocza tylko dochodziły wiadomości, ujęte w sumy cyfr, podobno wielkich. Ale Zofja, licząc jedynie na kopy—grosze prakskie i znając dokładnie finansową gospodarkę żup

solnych, nie rozumiała dzisiejszych zawiłych rachunków bankierskich.

Powoli stawał się Roman Uruski nazwiskiem, wypisywanem na solidnych arkuszach, pieczętowanych i stemplowanych. Niekiedy jednak, nieulekły przed żadnym rygorem, sen obierał sobie Romana na bohatera. A wtedy bliskość stawała się doszczętnem zapomnieniem wszelkich postanowień. Powracało nienasycone szaleństwo zmysłów i szarpało zębami głodu. Czarodziejstwo snu znikało wprawdzie bezkrwiste, szare i ciężkie, jak wór bezpotrzebnych kamieni, ale w ranki już trzeba było na nowo odbywać trud zapomnienia, nanowo przeinaczać się dla tych ustalonych, w porządku ułożonych godzin pracy. Jednakże właśnie natręctwo snu pustoszyło więcej, niż jakiegokolwiek odtwarzanie, dokonywane na jawie. Jakże bowiem trudno było przepędzić te radosne spotkania senne, jak trudno zmasać palące jeszcze znamiona dotknięć! I jakże ciężko było rozstawać się z sennymi zjawami, które niepokoiły niedościgłością form, nękały niedopowiedzianem już nigdy słowem!

Pozostawał wtedy lęk przed czemś, co tak uparcie pragnie trwać i przyoblekać się w kształt urywkowy choćby, byle tylko zaprzatnąć sobą niewdzięczną pamięć.



W. MIŁASZEWSKA

14

KACZĘTA

(powieść)

Pani Łuczakowa dużo mówić lubi. I wtedy, jak przyszłam, nim jeszcze wyluszczyłam, co z tą sukienką i że pilna, — powiada do mnie:

— Wie pani, Janinka ma starającego... Ona teraz zupełnie zmieniła życie — do kawiarni, do teatru rzadko chodzi, a jak pójdzie, to już tylko z nim. Bardzo przystojny młody człowiek. Janinka nie chciała mi jeszcze nazwiska powiedzieć. Mówi, że dopiero, jak się upewni, że on ją naprawdę kocha, to wtedy... Pokocha ją, musi on ją pokochać, bo Janinka nie żadna pospolita dziewczyna! Jaką ona ma inteligencję! Jak dużo czyta! Na pensji wszystkie koleżanki zawsze jej zazdrościły stopni!

Rozgadała się pani Łuczakowa, ale ona tak zawsze, jak o tej swojej córeczce zaczyna mówić. Matka, to zaslepiona: nie dziwo. Ja słucham, jak o żelaznym wilku, aż tu moja Łuczakowa do okna i w krzyk:

— Proszę pani, prędko, prędko!

Podchodzę, a ona woła:

— Widzi pani, ta, co idzie przez podwórze! To moja córka! To Janinka...

Twarzy nie widziałam, ale poznałam po nogach, po tych wysokich, cienkich nogach. Panie Święty! więc to ona! więc Tomek z nią...

Jak mi nie zacznie świszczeć w uszach wszystko, co Łuczakowa mówiła... I to, że Janinka ma konkurenta... Juści, ten konkurent, to widać Tomek... Juści...

A Łuczakowa nic, tylko w okno patrzy i cały czas trajkocze:

— Jaka ona zgrabna! Może nie? Jak chodzi zgrabnie, o, wie pani, ona tak chodzi, jakby ledwie, ledwie dotykała ziemi... Żelówek prawie nie zdziera... Wierzch zniszczony od wilgoci, od kurzu, a żelówka cała... Janinka moja! Pewnie teraz do krawcowej idzie,

na pierwsze piętro. Śliczny sobie kostjum zamówiła, widziałam próbkę. Materiał jesienny, ale jasny popielaty...

— Kostjum — myślę — jesienny!... A wszystko za Tomkowe pieniądze... Oj, gdybyś ty wiedziała, moja pani Łuczakowa, co ja wiem...

Ale nie powiedziałam jej ani słowa. Po co? Żeby Tomka skompromitować! Ma jeszcze takt ta Janinka, że po Nowym Świecie o swoim „konkurencie” nie trąbi...

Ładny konkurent! Gdyby wiedziała, co Tomek trzyma o niej i o całej tej miłości! Rany Boskie! Co to za świat, — co to za świat przewrotny...

Żal mi i tej dziewczyny, bo że się z nią Tomek nie ożeni, to więcej, niż pewne. Ale dobrze jej tak Poco bałamuci chłopaka, i jeszcze mojego Tomka.

Od Łuczakowej zabrałam się wtedy raz dwa, pięć przez dziesiąte napomknawszy o sukience. Żle zrobiłam, bo ukarbowała za płasko, a Adelfia dwa razy powtarzała, żeby było drobniuchno i gęsto. Po suknię Walerkę posłałam, niby że sama zajęta jestem. Nie chcę tam chodzić, nie chcę o tej Janince słuchać..

Przytem, prawdę powiedziawszy, to mi trochę, fakby wstydy...

15 września.

Marek już zaczął chodzić do szkoły od ósmego, a Tomasz wyprowadził się dziesiątego. Na obiady do domu przychodzi i podawnemu się spóźnia.

Jak przyjdzie, to zaraz od progu woła:

— Jeść, ciociu!

Niechby wtedy nie było w mig podane, miałybyśmy się zpyszna, ja i Walerka.

Mówiłam Tomaszowi ze trzy razy: „obiad jest punkt o trzeciej, mógłbyś pamiętać i pory się pilnować”.

— Ja swoich interesów muszę przedewszystkiem pilnować, moja ciociu! — odpowiada mi zawsze.

Ciekawam, co to za interesy, że czasem Tomek wpadnie o trzy na czwartą, a o czwartej już chwytą za kapelusze i biegnie.

— Do kantoru? — pyta Teofil

— Na kolej! Furda kantor, kantem go puszcze niedługo, zobacz ojciec!

Teofil się śmieje i mówi:

— Nie leć tak ekstracugiem, nie bądź taki pewny, bo ci się noga podwinie.

— Co mi się noga ma podwinąć! Sam ojciec wie, że interes brylantowy! Brylant nie papier na giełdzie, wartości nie straci!

Był tu kiedyś Radkiewicz, Tomka szef. Do Teofila przyszedł z interesem. Teofil jeszcze nie wrócił, więc Radkiewicz chwilkę ze mną gadu gadu, naturalnie o Tomku.

— Jabym go dawno z kantoru fiuut! — powiada — ale to zdolny chłopak i obrotna sztuka! Jak z robotą zwlecze, to ją potem raz, dwa odrobi. Póki moja firma

nie cierpi na tem, niech sobie ubija na boku własne interesy.

Staś się coraz częściej o Tomku pogardliwie wyraża.

— Dorobkiewicz, burżuj — powiada o nim — paskarz!

— Skądże znowu paskarz? Paskarze, to z ludzi krew ssa, jak pijawki, i drożyznę umyślnie podnoszą, żeby więcej zarobić. A Tomek nawet sklepu nie ma, więc skąd znowu paskarz? — tłumaczy Stasiowi.

— Eee... ciocia się tam dużo pozna, kto paskarz! A ja cioci mówię, że Tomek paskarz i to solidny paskarz, bawełniany.

Nic nie rozumiem. Niby, że bawełną paskuje? Prawda, sprowadzili te skrzynie; cztery jeszcze stoją w Teofila pokoju. Ale te skrzynie, to przecierz Tomek w Łodzi kupił kilka miesięcy temu na Teofila rachunek, a Teofil gotówką zapłacił, sama słyszałam od niego.

Zresztą — wszystko to nie moja sprawa. Nieuczciwego w tem nic niema, za to bym głowę dała, bo przecież Teofil zawsze sumiennie swój sklep prowadził i zaufanie miał u ludzi.

Była znowu z Markiem mała awanturka o szkołę. Przed samem rozpoczęciem lekcyj, w przeszłą sobotę Marek nagle do Teofila w prośby:

— Tatusiu! Jabym nie szedł do szkoły! Niech mi tatuś do akademji zapisze, na rysunki, mój tatusiu! Ja się w szkole nic nie nauczę, bo ja tej matematyki nie cierpię, a i łaciny także!

Naturalnie, że go Teofil ofuknął — i słusznie, ale nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Marek tak o co prosił. On świata nie widzi poza rysunkami, ciągle nad papierem siedzi. Teraz widoki z naszych okien maluje — same dachy! Także ma ciekawość do tego! Innyby nie spojrzął, a Marek już z trzech okien malował: odemnie, z saloniku i z jadalni.

Kiedys już zmierzch był, mówię mu:

— Zostaw to do jutra, oczy zepsujesz.

A Marek:

— Ciocia nie widzi, jakie to śliczne? Jak się te dymy różowe snują nisko i giną w ciemnych zaułkach? A tamto okienko oświetlone wygląda zupełnie, jak gdyby kto mrugał wesołym okiem...

Wtedy, to nie na dymy patrzyłam, tylko na niego. Twarz miał zupełnie przezroczystą i różową od tego zachodu, a w oczach tyle zachwyty i powagi. Zawsze mi Antolka w pamięci staje, gdy tylko Marek tak przed siebie patrzy, z zachwytem, ale jakoś smutno.

Już on jest taki, że jak mu się coś bardzo podoba, to się nigdy nie uśmiechnie...

21 września.

Znowu zrzadka tylko do pisania zasiadam, ale czasu mi brak, przytem zmęczona jestem. Od trzech dni deszcze się rozpadały, a ja je dobrze we wszystkich kościach czułam jeszcze przedtem.

Punktualnie od czterech lat ten reumatyzm na jesieni mi się odnawia i męczy.

Niby w domu wszystko tak samo, a jest właściwie zupełnie inaczej. Stasia po całych dniach niema, Tomka także. Marek, kiedy ze szkoły wróci, to też, jakby go nie było...

Adelcia do koleżanek lata, jak się z nowem mieszkaniem uwinęła. Teraz wszystko uporządkowane, pierwszego października ma być u nas „wielki raut inauguracyjny“, jak powiada Adelcia.

Więc tak. Mamy dwa salony, bibliotekę, jadalnię... W tym nowym salonie mebelki na cienkich nóżkach, złoczone, a kruche!.. Człowiek usiąść się boi, bo zaraz coś trzaśnie. Pokryte są atłasem w pasy kremowe i zielone. Jedno przeforsowałam, żeby chociaż sprawili pokrowce, ale czuję, że jak pokrowce do prania pójda, to jednej chwili spokojnej nie będę miała. Niech Walerka, co się może zdarzyć, bezemnie kiedy tam posprząta, to już z pewnością będzie jakaś szkoła. Walerka ma specjalny dar, że nawet tam stłuc coś potrafi, gdzie nic do stłuczenia nie stoi. A w salonie stoją dwa wazony na podstawkach z drzewa, cienkich, jak grochowe tyczki. U sufitu wisi żyrandol na dwadzieścia świec, na końcu każdej świecy, zrobionej ze szkła, jest lampka elektryczna.

A co tam gracików! A co drobiazgów wszędzie porozkładane! We drzwiach portjery do ziemi, na stole ciężka serweta pluszowa, haftowana, bordo ze złotem. Adelcia poukładała na niej książki i albumy, co tylko było w domu sprawne i niezniszczone. Kilka ogromnych książek kupiła, coś trzy francuskie, a jedna po angielsku, z ilustracjami. Poco to, kiedy nikt u nas w domu po angielsku nie rozumie?

Adelcia wprawdzie zapowiada, że się będzie angielskiego uczyła. I śpiewu także. Już jej Teofil obiecał, a płacić będzie za te lekcje ze trzysta marek miesięcznie.

Dziwią się potem, że ja na to wszystko trochę krzywym okiem patrzę. Co prawda, to i prawda. Nie lubię, jak się pieniądze za okno wyrzuca, a cała ta nauka, zwłaszcza śpiew, to, według mnie, wyrzucanie pieniędzy tylko.

— Ciocia jest zupełnie zacofana! Ciocia ma jakieś średniowieczne poglądy! Ciociaby każdą kobietę posadziła z igłą, przy robótce... Ciocia nie rozumie ducha czasu i że teraz kobiety mają pole otwarte do pracy nad kształceniem swoich umiowań! — wyrzeka na mnie Adelka.

Może i jestem zacofana. Chciałam wprawdzie Adelce pokazać śliczne pole pracy nad stosem dziurawych pończoch, które leżą w jej szafie, ale się w język ugryzłam i dobrze zrobiłam, bo Adelcia nie

znosi, jak jej o takich drobiazgach przypominać. Woli rano, po wstaniu, „na gorąco“ cerować dziury. Zawsze się wtedy śpieszy i byle jak je ześciubia, aż na to patrzeć nie mogę i naprawiam cichaczem, choć ja sama z bielizną chłopców mam chyba dosyć kłopotu.

Oj, ta Adelcia!

Każde przypomnienie o najprostszym obowiązku zaraz ją nudzi i złości.

Nieraz starałam się wpłynąć na nią, żeby chociaż najprostsze rzeczy wykonywała w gospodarstwie... Nauczyłam ją i szyć i trochę gotować, bo jakże kobiecie bez tego? Trzeba było widzieć, jak ona się wykrzywiła, jakie miny pokazywała mnie, albo kucharce.

— Nie znoszę kuchni, nie znoszę cerowania, nie znoszę! Nigdy, jak tylko dorosnę, nie wezmę igły do ręki, zobaczy ciocia!

Tak mówiła dawniej, a ja jej na to:

— To ciekawam, jak zrobisz, jak ci własny dom przyjdzie prowadzić?

— Będę miała dużo służby. Ja sama niczego się nie dotknę, oni wszystko sami zrobią...

— A skąd wiesz, że będziesz miała służbę na zawołanie, moja Adelko?

— Bo ja tylko bogato zamąż wyjdę — odpowiadała zawsze, i to się w niej chyba nic a nic nie odmieniło.

Mnie się zdaje, że Adelcia dużo w siebie wmawia i jestem przekonana, że gdy tylko założy własne ognisko, będzie z niej wcale dobra żona i matka. Obecnie dziewczęta bardzo często wygłaszają pogardliwe zdania o gospodarstwie domowym, jakby to było poniżenie potrafić smacznie coś ugotować, czy upiec.

Dlatego się trochę cieszę z tych gości u nas, że się Adelcia z robotą koło domu otrzaska. Ja już zapowiedziałam, że sama rady sobie nie dam, i jeżeli ma być „wystąpe“, jak powiada Staś, to musi Adelcia swoich rączek nie żałować.

27 września.

Pięką ciasta, a jednocześnie sobie ten dzienniczek przyniosłam do kuchni; bab i placków doglądam i piszę.

Zupełnie u nas przed tem przyjęciem, jak przed Wielkanocą, Musiałam na Adelki prośby ciastek kruchych napiec dwie tace, a teraz znowu te baby.

Mąki wyszło odrazu z pół puda nie byłabym popozwoliła na to, ale mi Teofil obiecał, że dwa worki przennej krupczatki z Kopytowa przysła, więc niech tam.

Adelcia rozgorączkowana, o niczem innem myśleć nie może, jak o tym naszym fiksie, ale ia to widzę i wszystko inne, co się dzieje wkoło. c. d. n.





Welcome

PARYŻ POD GWIAŹDZISTYM SZTANDAREM

(Korespondencja własna „Bluszczu“)

Majonez z 2400 jaj! Pięćdziesięciu kucharzy, cztery „maîtres d'hôtel“ pracowało przy bankiecie, wydanym na cześć Amerykanów. Jakże te cyfry imponują poczciwym paryskim mieszczuchom, którzy od czasu wystawy sztuk dekoracyjnych, t. j. od dwu lat, nie mieli sposobności pogapić się na wielką uliczną fetę, o charakterze narodowym zarazem i tak dotykalnie, doraźnie produkcyjnym. Fascynujący, przy pochlebny szelest dolara ulatywał, jak subtelny aromat, ponad okrzyki i fanfary, proporce i fontanny, dekoracje świetlne, rozpostarte po całym mieście, i dekoracje orderowe, hojnie zawieszane na szerokich, krzepkich piersiach przedstawicieli Legji Amerykańskiej, która w tym roku wybrała sobie Paryż za miejsce uroczystego kongresu. Podobno 60000 jankesów napłynęło przy tej okazji do stolicy świata. A za każdym z nich, niby srebrna bruzda piany za parowcem transatlantyckim, sunęła połyskliwa, szeleszcząca fala szlachetnej waluty. Potrzeba jest nie tylko matką wynalazków, — bywa też niejednokrotnie rodzicielką wymyślnych owacyj. Wdzięczność za krew sprzymierzeńców, przelaną w wielkiej wojnie, kojarzyła się z gorączką oczekiwania. Kaskady iluminacji, girlandy świateł, rozwieszane po wielkich bulwarach, słowo „Wellcome“, ognistymi głoskami wypalone na zaróżowionem od łuny, rozpaczliwie mglistem niebie paryskim; imponujące dekoracje świetlne na wszystkich wielkich domach towarowych, zwycięskie orły francuskie, tonące w amerykańskich gwiazdach, — wszystko to krzyczało o rewanż, w postaci Niagary złota, potopu radości, bez troski, potęgi. Czy Niagara nie zawiódła oczekiwań nie wiemy. Trzebaby za parę tygodni przejrzeć książki rachunkowe wielkich magazynów Luwru, Galerji Lafayette, Bon-Marché i tych niezliczonych, zasypanych

kosztownymi drobiazgami, sklepów na rue de la Paix, na Avenue de l'Opéra.

Ale potop radości nie zawiódł. A tak bardzo go było potrzeba! W porównaniu z tem, co widziałam



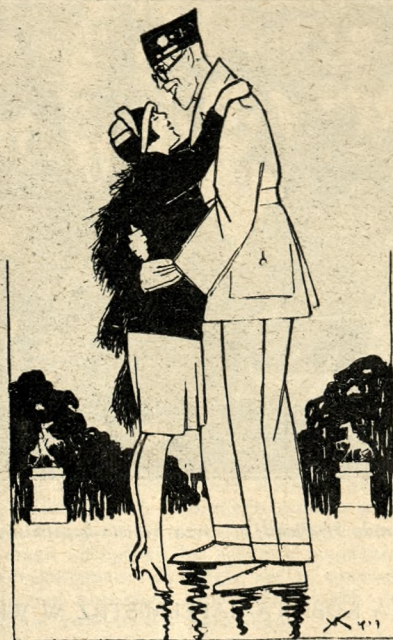
Jak w 1917

dwa lata temu, ludek paryski posmutniał i osowiał. Podawnemu wprawdzie chodzi na „foire'y“, jeździ na karuzelach i kusi fortunę przy kołach szczęścia, ale wszystko to czyni ospale, z przyzwyczajenia raczej, niż z nadmiaru sił żywotnych. Szyneczki i kawiarnie zawsze są pełne, ale gdzież paryżanin utopi pszyśłowiowego mola, jeśli nie w codziennym, sakramentalnym „apéritif'ie“?

Ale jest przygnębiony drożyzną, ciężkimi warunkami życia, coraz bardziej wytężoną walkę o byt. I jak to zazwyczaj się dzieje, źródło złego upatruje w tem, co może stać się dla niego źródłem wzmoczonej energii. Trzeba znaleźć kozła ofiarnego: tym kozłem jest cudzoziemiec. Nie ten, który przyjeżdża na parę tygodni do Francji, aby wydać tysiące na fatałachy, rzucać pieniędzmi po dancingach i music-hal-lach, zapełniać drogie hotele na modnych plażach i wywozić do własnej ojczyzny przekonanie, że Francja jest najkosztowniejszym krajem na świecie. Ale ta szarańcza głodomorów wszelkich nacyj, poszukiwaczy piękna, nostalgików ideału, polskich artystów, rosyjskich emigrantów, co obsiadła wszystkie poddasza Montparnassu i dzielnicy łacińskiej; ta rzesza motyli, opalających sobie skrzydła przy olbrzymich słońcach sławy wszechświatowej, do której droga prowadzi najczęściej przez zapomnianą mogiłę na Père-Lachaise albo na Montmartrze...

Ta rzesza stwarza niebezpieczną konkurencję tubylczym producentom szablonu. Jest twórcza. Najpiękniejsze „articles de Paris“, owe cudne lalki, abażury, poduszki, woreczki, chusteczki malowane — wychodzą z pod niez mordowanych palców słowiańskich tułaczy, którzy w ojczyźnie nie mogli sobie dać rady, a tu dają się wyzyskiwać, wysysać aż do szpiku kości, — byle tylko w Paryżu. I od tych to najeźdźców rząd francuski pragnie się odgrodzić murem chińskim urzędowego zakazu. Na każdej wizie francuskiej widnieją złowieszcze słowa: „Okaziciel niniejszego nie ma prawa przyjmować urzędu, lub pracy“. Do Francji wolno przyjeżdżać tylko poto, żeby wydać pieniądze, — wywozić ich nie wolno. Zarobić na życie — nie wolno. Twój kraj niech ci da pracę i chleb. Mowa tu tylko, rzecz prosta, o zarobkach intelektualnych, czy artystycznych. Robotnik z rodziną jest zawsze przyjmowany z otwartymi ramionami. Silne, zdrowe zwierzę pociągowe jest potrzebne tej ziemi, użyźnionej prochami tyłu polskich genjuszów. Ziemi, która łaknie świeżej krwi, której imponuje rozrodcza siła chłopka polskiego.

Nie dziwny się niczemu. Uczmy się, chodząc po wielkich bulwarach, jak u tego, jednego z najbardziej kulturalnych narodów świata, przemawia głód i miłość. Głód każe tej wynędzniałej, zawiedłej w zaduchu „metra“ kobiecie, sprzedawać ukradkiem na ulicy wysortowane pończochy, dziecinne sweterki i używaną odzież. Miłość rzuca w objęcia tęgiego, rozochoconego amerykańskiego draba smukłą postać paryskiej



Czy byłeś mi wierny?

midinetki, z którą się kochał przed dziesięciu laty, kiedy to przelewał krew swą za Francję. Przecież to on, on właśnie obronił ją od „boszów“! S. P. O.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

RABINDRANATH TAGORE O KOBIECIACH

Wielki filozof i pisarz hinduski Rabindranath Tagore udzielił w tych czasach wywiadu jednemu z dziennikarzy amerykańskich, wypowiadając swe zdanie o roli i znaczeniu kobiety w dzisiejszym społeczeństwie. Rabindranath Tagore twierdzi, że współpraca kobiety z mężczyzną na każdym polu jest olbrzymim krokiem postępu na drodze udoskonalania ludzkości. Podkreśla jednak wyraźnie — w spółpraca, nie naśladownictwo.

Jest to ogólny i zasadniczy pogląd obecnej elity umysłowej w Indiach — stwierdziła to samo, podczas konferencji prasowej w Warszawie, Annie Besant. N. J.

OBRONA PRAW MATKI WE FRANCJI

We Francji ostatnimi czasy wzmógł się ogromnie ruch, mający na celu obronę praw matki i zrównanie znaczenia władzy macierzyńskiej nad dzieckiem z władzą ojcowską.

W obecnym stanie rzeczy, gdy zachodzi potrzeba zezwolenia rodzicielskiego na małżeństwo niepełnoletnich dzieci, wystarcza, gdy zezwolenia owego udziela ojciec; wobec władz kościelnych i urzędu Stanu Cywilnego zgoda matki nie jest brana w rachubę.

Senator Louis Martin wniósł do Senatu projekt zmiany odpowiedniego paragrafu Kodeksu Cywilnego, w myśl którego na przyszłość, dla zawarcia związku małżeńskiego niepełnoletnich, obowiązywać będzie zgoda obojga rodziców. Powyższy projekt prawa został przesłany do rozpatrzenia parlamentowi francuskiemu, skąd dla ostatecznego zatwierdzenia powróci ponownie do Senatu. R. C. H.



Gertruda Hrdlicka, pierwsza kobieta-kapelmistrz

PIERWSZA KOBIEȚA-KAPELMISTRZ W WIĘDNIU

Pisma wiedeńskie donoszą, że w Burggartenie odbyły się dwa koncerty symfoniczne pod batutą Gertrudy Hrdlicka. Koncerty te cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Cała prasa podkreśla niezwykłą muzykalność dyrygentki, jej umiejętność dobywania z orkiestry efektów dynamicznych, inteligencję i doskonałe zrozumienie ducha utworów.

Należy dodać, że p. Hrdlicka jest młodziutką, pełną wdzięku osobką. Członkowie jej orkiestry zapewniają, że rozkosz jest pracować z dyrygentką, znającą tak doskonale swoją sztukę, a jednocześnie posiadającą werwę, humor i czar prawdziwej kobiecości.

Przy tej sposobności przypominamy, że i Polska również posiada kobietę-kapelmistrza w osobie p. Andy Kitchmanówny, która przed laty dyrygowała orkiestrą warszawskiej operetki w teatrze Nowości.

R. C. H.

NASZE DELEGATKI ZAGRANICĄ

Z uznaniem zaznaczyć należy fakt, że nasze działaczki nie poprzestają na intensywnej robocie w granicach kraju, lecz korzystają z każdej sposobności, by zbadać zakres pokrewnej pracy zagranicą i zastosować wszelkie możliwe ulepszenia w Polsce.

Należą do nich: znana społeczniczka, inspektorka pracy, p. Halina Krachelska, oraz p. Krzewska, słuchaczka studjum Pracy społeczno-oświatowej. Wyjechały one do Berlina dla zwiedzenia wystawy „Das Junge Deutschland”, która ma obejmować całokształt zagadnień, związanych z dzieckiem i młodzieżą. Z dziedziny tej uwzględnione są prądy pedagogiczne na tle powojennych warunków, organizacje młodzieży i t. p.

Pani Krachelska delegowana jest przez Polski Komitet Pomocy Dzieciom i ma polecone przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej zebranie materiału dla inspektoratu dokształcania i ochrony dzieci i młodzieży.

Przy sposobności zaznaczamy, że słynne medjum, wice-prezesa Polskiego Towarzystwa Badań Psychicznych, p. Przybylska wyjechała na Międzynarodowy Kongres Badań Psychicznych w Sorbonie.

N. B.

RAID AUTOMOBILOWY WIEDENKI

Sport automobilowy w Austrii liczy wiele namiętnych zwolenniczek. W kraju tym mnóstwo kobiet nietylko potrafi świetnie prowadzić własny samochód, czyszczony i utrzymany w porządku przez drogo opłacanego szofera, ale—po ukończeniu specjalnych kursów dla kierowców,—umie samodzielnie „chodzić koło maszyny”; to znaczy, zna jej części składowe, mechanizm, działanie motoru, potrafi zaradzić sobie sama w razie potrzeby.

Jedną z takich wykwalifikowanych i samodzielnych automobilistek austriackich jest młodziutka, bo licząca zaledwie siedemnaście wiosen, panna Lisi Wurmb, córka profesora wiedeńskiej akademii malarskiej.

Młoda ta paniątka założyła się z pewnym amerykańcem o 15.000 dolarów, że w ciągu roku zdoła przejechać własnym autem olbrzymią przestrzeń stu tysięcy kilometrów.

W tych dniach panna Wurmb wyruszyła w daleką podróż w towarzystwie ojca. Start odbył się przed gmachem wiedeńskiego Klubu Automobilowego na Kärtneringu. Przed odjazdem członkowie klubu sprawdzili i opieczętownali licznik samochodu. Droga śmiałej sportsmenki prowadzi z Wiednia przez Brunn, Pragę, Lipsk, Berlin do Anglii, Stamtąd do Hiszpanji, Włoch, przez Bałkany, Szwajcarię, Francję i Niemcy zpowrotem do Wiednia. R. C. H.

MAŁŻEŃSTWA NIELETNICH

Warunki życia powojennego, coraz większa konkurencja przy zdobywaniu pracy, prawie powszechne poświęcanie się młodziemu studjom uniwersyteckim, brak mieszkań i mnóstwo tym podobnych czynników jest powodem, że dzisiejsza młodzież w coraz późniejszym wieku wstępuje w związku małżeńskie.

Nasze babki wychodziły zamaż, mając przeciętnie lat 17-cie lub 18-cie; nasze matki—już nieco później, bo w dwudziestym, lub dwudziestym pierwszym roku; dzisiejsze zaś panny—przeważnie dopiero koło 25-go roku życia.

Kównolegle jednak z tem powszechnem zjawiskiem wzrasta liczba małżeństw, zawieranych przez nieletnich, nieledwie dzieci.

Angielski państwowy Urząd Statystyczny podaje następujące cyfry, tyżące się ślubów, zawieranych przez dziewczęta w wieku poniżej lat 16-tu, w ciągu ostatnich trzech lat. W okresie tym wyszły zamaż cztery czternastolatki.

W roku 1924—19 piętnastolatek, w roku 1925—24, w roku zaś 1926—36 piętnastolatek.

W związku z tem angielskie sfery miarodajne zamierzają w drodze prawodawczej podnieść wiek nieletnich, wstępujących w związki małżeńskie: określić go dla obu płci nie mniej, jak na lat 16.

Przeciw tej propozycji występują niektóre stowarzyszenia kobiece, dowodząc, że zdarzają się wypadki, gdy dziewczyna poniżej lat 16-tu spodziewa się zostać matką i wychodzi zamaż, aby zalegalizować urodzenie się dziecka, należy więc jej to umożliwić.

Kwestja małżeństw nieletnich ma być ostatecznie zdecydowana w Anglii jeszcze w roku bieżącym na jesieni. R. C. H.

WYPRAWA TRZECH KOBIEȚ W GŁĄB CHIN

Trzy amerykanki, członkinie Międzynarodowej Ligi Kobiecej wolności i pokoju, pp. Grover Clarke, Drevet i Edith Pay udają się do Chin. Celem tej podróży samotnych trzech kobiet w samo centrum wstrząsanego wojną kraju jest gruntowne poznanie istotnego stanu rzeczy w Chinach i chińskiego społeczeństwa, oraz przekonanie się, o ile jest możliwe ściślejsze jego porozumienie się z krajami zachodu. Śmiałe podróżniczki mają nadzieję znaleźć—drogą tego porozumienia,—sposób uleczenia ciężkich ran i klęsk, którym podlegają Chiny, możliwość zreformowania stosunków między wschodem a zachodem w duchu lepszego i ściślejszego zbliżenia wzajemnego.

Wszystkie trzy wyruszą z Genewy; w Chinach będą się starały jaknajmniej wchodzić w kontakt ze stronnictwami politycznymi, a jaknajwięcej—z samem społeczeństwem w jego życiu prywatnem, zawodowem i kulturalnym.

N. J.

ZNIESIENIE OGRANICZEŃ MEŻATEK W MIN. POCZT I TELEGRAFÓW

Pomimo, że konstytucja polska nadała kobietom równoprawnienie, istnieje dotychczas cały szereg regulaminów poszczególnych instytucji, a nawet działów administracji państwowej, stojących w rażącej z duchem ustawy konstytucyjnej sprzeczności.

Jedno z takich rażących ograniczeń praw kobiet zostało przed paru dniami zniesione — mianowicie rozporządzenie ministerstwa poczty i telegrafów z 27 list. 1919 r., głoszące, iż urzędniczka tego ministerstwa, z chwilą wstąpienia w związki małżeńskie, traci prawa stałego etatowego, urzędnika. Rozwiązano z nią umowę i mogła być tylko angażowana, jako kontraktowa. Wiadomo zaś, o ile mniej korzystna jest praca urzędników kontraktowych, nie posiadających praw emerytalnych, dodatków mieszkaniowych, niżek kolejowych, a głównie—stałego stanowiska; narażonych lada chwila na dymisję, lub, poprostu, nieodnowienie kontraktu po upływie terminu. To—z punktu widzenia materialnego. Ze strony zaś moralnej, jakże upokarzające było to prawo, zamieniające stałą, etatową urzędniczkę na chwilowo zatrudnioną, i to nieraz po latach pracy! — zamiast awansu i stabilizacji otrzymywała kobieta pewnego rodzaju degradację — z chwilą założenia rodziny!

Zarząd Związku pracowników poczty i telegrafów Rzeczypospolitej zabiegał usilnie o uchylenie tego krzywdzącego rozporządzenia i nareszcie starania jego zostały uwieńczone pomyslnym skutkiem.

Wydane obecnie przez p. ministra poczt i telegrafów rozporządzenie nie tylko uchyla ograniczenia uprawnień urzędniczek-mężatek, ale zaznacza wyraźnie, że urzędniczka-kobieta, zawierająca związek małżeński, traktowana będzie narówni z urzędnikiem-mężczyzną. Jednocześnie wydano drugie rozporządzenie, przywracające dawny charakter służbowy tym urzędniczkom-mężatkom, które go utraciły z powodu zawarcia związku małżeńskiego.

Niewiadomo tylko, dlaczego pozostawiono nieszkodliwy zupełnie dla kobiet, ale zasadniczo trochę śmieszny dodatek. Oto narzeczeni i mężowie urzędniczek poczt i telegrafów złożyć muszą oświadczenie, że znane są im przepisy, którym podlegają pracownicy tego ministerstwa i że godzą się na pozostanie w jego służbie swych małżonek.

Rzecz — naprawdę nie groźna! Ale — śmieszna.

Nie istnieje dziś przymus paszportowy, mąż nie może zmusić żony do przebywania z nim, ani do porzucenia pracy — nie przyczyni państwu kłopotu, zabierając żonę z biura, więc poco to zastrzeżenie?

Chyba poto, żeby zawsze istniał choć najmniejszy ślad tego: że, jednak... nie traktuje się kobiety zupełnie poważnie! N. J

GDZIE I KIEDY KOBIETY UZYSKAŁY RÓWNOUPRAWNIENIE POLITYCZNE

Po raz pierwszy kobiety uzyskały oficjalnie równouprawnienie polityczne dn. 10 czerwca r. 1869 w Ameryce Północnej na terytorjum Wyoming, podniesionego później do godności Stanu. Wówczas to legislatura owego terytorjum uchwaliła, że kobietom nadaje się prawo głosowania i ubiegania się o urzędy. W roku 1890 prawo to zostało raz jeszcze potwierdzone przez konstytucję Stanu Wyoming.

Z innych Stanów Ameryki Północnej w Colorado kobiety uzyskały prawo głosowania w roku 1893, w Idaho i Utah w r. 1896, w Stanie Washington w r. 1910, wreszcie w Kalifornji dopiero w r. 1912-ym.

Kampanja na rzecz politycznego równouprawnienia kobiet w całym kraju toczyła się przez szereg lat i wreszcie uwieńczona została całkowitem zwycięstwem. Dn. 26 sierpnia r. 1920 na Kongresie w Washingtonie uchwaloną została 19-ta poprawka do konstytucji amerykańskiej w następującym brzmieniu:

„Ani Rząd Stanów Zjednoczonych, ani też żaden oddzielny Stan nie może odmówić, czy ograniczyć prawa głosowania do instytucji prawodawczych na podstawie różnicy płci“.

W związku z powyższym — ciekawą staje się rezolucja Kongresu amerykańskiej partji narodowej w Colorado Springs z lipca roku bieżącego.

Rezolucja owa domaga się faktycznego równouprawnienia kobiet, ściśła bowiem obserwacja wykazuje, że niema ani jednego Stanu w Ameryce, któryby dawał kobiecie i mężczyźnie zupełną równość wobec prawa.

A więc i amerykański uskarżają się, że nie zdołały jeszcze uzyskać pełni praw. Cóż wobec tego mają powiedzieć kobiety węgierskie, które niedawno uzyskały prawo wyborcze jedynie do parlamentu, z wyłączeniem senatu, przyczem wyborczym, czy przyszłym posłankom stawiane są następujące wymagania: 30 lat skończonych, 7 lat szkoły średniej i conajmniej troje własnych dzieci

R. C. H.

STRÓJ WSPÓŁCZESNYCH CHINEK POD NADZOREM POLICJI

Francuska prasa donosi, że policja pekińska zajęła się regulowaniem stroju kobiecego w stolicy Chin.

Szczęśliwa policja, widocznie mało ma innych kłopotów i zajęć, skoro wzięła na siebie niewdzięczne zadanie „ochrony zdrowia i moralności publicznej“, jakoby poważnie zagrożonych przez coraz bardziej europejski sposób ubierania się młodych chinek.

Okazuje się, że moda nie uznaje żadnych granic, ani przestrzeni, gdyż nie robiąc sobie nic z niezmiernych dali, gór ani... muru chińskiego, zdołała jednak dotrzeć aż do Państwa Niebieskiego Smoka, gdzie wprowadziła w ruch nożyce, obcinając długie warkoczki, suknie i rękawy i odsłaniając kobiece szyje, nogi i ramiona.

Rozporządzenie, wydane przez policję pekińską, zawiera między innymi następujące słowa:

„W wielu wypadkach ultra postępowe chinki stały się nieposłuszne prawu i obyczajom naszego kraju. Z ubolewaniem zaznaczamy, że studentki i młode osoby z najwyższych sfer towarzyskich są tu głównymi winowajczyniami. Jeżeli pozwolimy, aby taki stan rzeczy trwał nadal, to jakże zdołamy ochronić przed zepsuciem moralność naszej ojczyzny?“

W celu zachowania czystości obyczajów na przyszłość ni niejszym rozporządzeniem upoważnia się wszystkich policjantów do niezwłocznego aresztowania każdej kobiety, której strój wyda im się nazbyt swobodnym. Kobiety takie będą surowo ukarane. Niech drżą i niech będą posłuszne“.

Mamy wszelkie prawo wierzyć, że wyzwolone chinki, przeczytawszy to bezsensowne rozporządzenie, zamiast drzeć, roześmieją się, ale... nie posłuchają.

R. C. H.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

Chiny. Pani Sun-Dzin-Lin, żona Sun-Jan-Tsena, mianowana została niedawno szefem iządu chińskiego w Nan-Czan. Nowa dygnitarka chińska jest młodą dwudziestoparoletnią kobietą, odznaczającą się wysokim wykształceniem i niezwykłą energją.

Grecja. W ateńskim uniwersytecie do egzaminów o uzyskanie stopnia doktora praw stanęło 165-ciu młodych prawników. Na liście tych, którzy stopień ten zdołali otrzymać, na czoło wysunęła się młoda 22-letnia studentka Marja Tsimbouraki, osiągając najlepsze stopnie ze wszystkich bez wyjątku przedmiotów. Z tego powodu w greckich kołach kobiecych panuje wielka radość.

Stany Zjednoczone. „Illinois Central Magazine“ donosi, że w ciągu ubiegłych lat siedmiu współpraca kobiet w kolejnictwie amerykańskim rozwinęła się w znacznym stopniu. W roku 1926-ym liczba kolejarek wynosiła 61,302, co stanowi trzecią część urzędników kolejnictwa parowego.

Z spośród nich dwie kobiety są maszynistkami, prowadzącymi lokomotywę, 290 pracuje w warsztatach; największa liczba, bo 51,127 jest zajęta w biurach, 3,332 myje i utrzymuje w czystości wagony, 1,814 pełni służbę kelnerek i praczek, wreszcie 1,427 pracuje w urzędzie telefonicznym i w telegrafii.

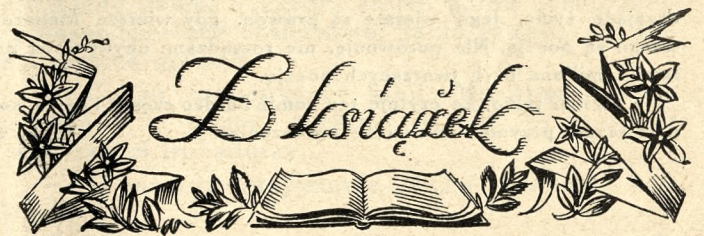
Kuba. Każda kobieta zamężna, z jakiegobądź kraju pochodzi, ma prawo wjazdu na wyspę Kubę tylko w tym wypadku, gdy posiada na to pisemne zezwolenie swojego męża. Prezydent Machado w ciągu ubiegłego lata zmodyfikował to surowe prawo, zezwalając zamężnym amerykankom przyjeżdżać bez pozwolenia mężów. Zamężne obywatelki innych krajów, pragnąc przyjechać do tego gościnnego kraju, muszą nadal pytać o pozwolenie swoich panów i władców.

Widocznie kubańscy mają silnie zakorzenione poczucie prawa własności zresztą z pewnością są zdania, że kobieta nie posiada duszy.

Indje. W ciągu ubiegłego lata w Indjach wiele hałasu narobiła sprawa małżeństwa pewnego 65-cioletniego bramina z 9-cioletnią dziewczynką.

Ślub miał się odbyć w dniu 6-tym lipca; poczyniono wszystkie przygotowania do ceremonji ślubnej, gdy w ostatniej chwili, na skutek interwencji władz angielskich, potworny ten związek nie doszedł do skutku.

R. C. H.



Aleksander Maliszewski. Władysław Sebyła. Poezje. Warszawa, 1927 r.
Skład główny w księgarni F. Hoesicka.

Leży oto przedemną cieniutka książeczka, w której zawarto nowy czyn twórczy naszej najmłodszej poezji.

Tej poezji właśnie, o której tyle się pisze i mówi, a która pomimo wszystko, wyslizguje się z kleszczy syntezy krytycznej niespodzianością swoich możliwości i bogatą skalą zawartych prawd.

Jest ona sama w sobie tak świeża i niezależna, że zawczesne, dużo zawczesne są wszystkie stosowane do niej rubryki buchalteryjnych ksiąg. Ciągłe starania o naklejenie na niej odpowiedniego nagłówka, nie wyłączając syntezy, zawartej w „Zarazie w Grenadzie“ J. N. Millera, ujmują jej niezwykłość tylko częściowo, z jednej strony, a wiadomo, że jeżeli poezja jest zbudowana z miliona brył, to każda z nich jest zupełnie inna. Jedno jest tyl

ko we współczesnej poezji takie samo, jak dawniej, jak najbardziej dawno: to poszukiwanie.

Zbiorek utworów dwóch najmłodszych poetów, o którym właśnie mówić zamierzam, jest w całym tego słowa znaczeniu — poszukiwaniem. Jest to ich pierwszą wspólnotą i największą różnicą. Poszukiwanie przez wkładanie w istniejące upragnionych złud— to Maliszewski; poszukiwanie przez odrzucenie istniejącego i pragnienie jaknajmocniejsze pragnienie—to Sebyła.

Maliszewski poszedł drogą, jeżeli nie najmniejszego, to mniejszego oporu. Wkłada więc, znajduje i patrzy na rzeczywistość poprzez upragnione złudzenia. Jego wiersze trzymają się życia tylko pajęczymi nitkami, które nazwałabym punktem wyjścia, ale istotą ich jest nierzeczywistość, jest symbol, jest jego bardzo skomplikowana i czysto poetycka psyche. Przez ten przeskok daje nam Maliszewski bajeczne efekty formalne. Np. w wierszu p. t. „Prowokator“ mamy niby realizm, niby moment dynamiczny tak rzeczywisty, że aż malarski, a pod koniec rzuca nam poeta znamieny okrzyk:

„a —
czyście widzieli kiedy —
tor spadających gwiazd?—

Tak, już rozumiemy teraz „Prowokatora“ i typ twórczości Maliszewskiego. Jest to typ przedewszystkiem nawskroś muzyczny, w którym niema miejsca na zmysłowe odczuwanie wiersza. Świadczy o tem i forma, kunsztowna, powikłana w sobie i przyjęta przez autora, jako punkt pierwszej ważności.

Sebyła natomiast poszedł drogą poszukiwań bez nadziei. Odrzuca to, co jest i co go nie zadawalnia, nie znajdując przytem nic, czemby mógł odrzucone zastąpić, gdyż szuka w tej samej sferze— w rzeczywistości.

Jego wiersze są aż boleśnie prawdziwe, i nie można nigdzie znaleźć odpoczynku, od tej ich realności. Czuje się w nich dotknięcie szorstkiej, niemiłej odzieży, nałożonej na delikatne ciało, i nie można ani na chwilę przypuścić, że ta szorstkość jest tylko symbolem. To jest rzeczywistość.

Ale Sebyła jest przez to bezpośredniejszy i bliższy. Wiersze jego dotykają, pachną, świecą i wogóle narzucają się wszystkim zmysłom naraz. Zda się, że można je ująć w rękę, by przysunąć bliżej oczu i spojrzeć jaknajbardziej w głąb duszy poety.

Sebyła jest o tyle malarski, o ile Maliszewski—muzyczny, ale mimo to, a może właśnie dlatego, wiersze jego są bardzo proste w budowie. Nie mogłyby być inne. Kunszt odpada, jak niepotrzebna skorupa, bo oto w ramach swych wierszy poeta zamknął żywe, drgające życie. Jego wiersze są prawdą, gdy wiersze Maliszewskiego są poezją. Nie porównuję, nie rozsądzam: obydwaj są bryłami z miliona brył, tworzących poezję.

Wiem tylko, że czytuję ten tomik bardzo często, i że za każdym razem przynosi mi świeże wzruszenia.

Z. M.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI:

„Fedora“ sztuka w 4 aktach *Wiktoryna Sardou*. Przekład *Gustawa Olechowskiego*

„Fedora“ jest przedewszystkiem — rolą. Sardou poprostu biczuje ambicję aktorki. Niech pokaże, co umie! Więc najpierw trzeba wyparskać mściwość, potem nie załamać się, gdy przedmiot nienawiści obudzi uczucie miłości, a wreszcie poddać się torturze rozpaczy, gdy się okaże, że mściwa gra wynikła z fatalnego nieporozumienia.

Są to więc dość ryzykowne skoki uczuć, taka — powiedziałabym — lekko-atletyka psychologiczna, która biegnie do tragicznej mety.

Przyznać jednak trzeba, że ten niemodny już dramat w tiur-niurze, ułożonej w zawiłe fałdy i festony intrygi, związanej w mi-sterną kokardę romansowo-kryminalnej fabuły — budzi zainteresowanie. Jesteśmy wprawdzie dziś już bardzo obyci z sherlockow-skim systemem śledczym i dlatego odrazu zauważyliśmy, że zbyt lekkomyślnie skierowano dochodzenia na nihilistyczne tło zbrodni, ale właśnie na tej pomyłce w założeniu mógł się tak ciekawie rozwinąć spłot wypadków. Sardou zdawał sobie zresztą sprawę z tego, że indryga dramatu jest aż nazbyt kunsztowna, usprawiedli-wił się więc niejako tem, że w gorącej wodzie kąpana bohaterka jest — słowianką. Jej wschodni temperament ma tłumaczyć sztucz-ność koncepcji dramatu i dziwaczne przeskok i wysoki uczuć. W tym też zapewne celu wygłasza Ipanow ową tyradę na temat kobiety słowiańskiej: Mój Boże, jakimże oszałamiającym dziwo-łgiem jest ta słowianka! Jakież szalone kontrasty miesza w tygiel-ku swojego serca!

Sardou nie chciał bynajmniej uczynić z Fedory demona, ale sądził, że odrobina egzotyizmu zdoła wyjaśnić, albo raczej ducho-wo uprzystępnąć, papierową logikę sztuki.

P. Przybyłko-Potocka zrobiła jednak dobrze, unikając egzo-tyzmu. Jej Fedora stała się przez to naprawdę kobietą, której pobudki uczuć są zrozumiałe. Znakomitej artystce należy się więc szczerzy komplement za doskonałą kreację, świadczącą o kunszcie aktorskim w wielkim stylu. Można podziwiać, jak p. Przybyłko-Potocka powiązała krańcowe uczucia w ludzką całość.

Partner p. Przybyłko, p. Samborski miał kłopotliwą, bo bierną rolę Ipanowa. Robił, co mógł, z tym nieszczęśliwym teatral-nym fantem. Czasem niepotrzebnie się unosił, chcąc zapewne przesadną ekspresją ratować niewdzięczną długość retrospektyw-nych „opowiadań“. P. Sulima i p. Fritsche operowali rutyną. Kostjumi Norblina, dekoracje Śliwińskiego bardzo wdzięczne, sty-lowie, zharmonizowane. A całość tego interesującego przedstawie-nia żywo puszczona w ruch przez reżysera p. Borowskiego.

TEATR LETNI:

„Moja Maleńka“ komedia w trzech aktach *D. Nikodemi'ego i J. Mirandé'a*. Przekład *Z. Jachimeckiej*

Temat „Mojej Maleńkiej“ jest bodajże — „bębnowaty“. Zna-my go zresztą z rozmaitych wersji komedjowych i niekomedjo-wych. Pozatem spółka: Nikodemi i Mirandé nie bardzo się wysi-lała nad remontem starej fabuły. Chyba tylko tyle, że kapnęło trochę łez rozmaitego kalibru, bo melodramatycznych i pijackich Pierwsze miały za zadanie wzruszać, drugie — rozśmieszać.

Na krótką chwilę byliśmy niemal zażenowani nagłą przemia-ną uczuć przybranego ojca z ojcowskich w erotyczne, ale wisto-cie nikt przecież nie wierzył, aby śliczna, młodzianka p. Majdro-wiczówna (Symona) uległa szpakowatej miłości p. Lenczewskiego (Michał Angely).

Po scenie kręci się jeszcze kilka niezłe nakreślonych figur choć i te, przysięgby można, poznaliśmy już podczas innych okazji teatralnych. P. Kurnakowicz odrabiał swojego pijaka—Ka-rola Revela—z łatwym humorem, a pobłażliwy widz lubi przecież tych nieszkodliwych opojów!

Bardzo oszczędny dowcip „Mojej Maleńkiej“ ratowały niektóre zabawne sytuacje. Zresztą, niefrasobliwość autorów spotka się prawdopodobnie z niewybrednością pewnego typu publiki teatralnej, tembardziej, że komedia grana jest gładko i zreżniesznie.

h. n. (w zastępstwie).

* * *

Drobnych rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzo-ne znaczkami na odpowiedź i wyraźnem żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.

COŚ NIECOŚ O GENTLEMENACH WARSZAWSKICH I ANGLOSASKICH

Tak wiele napisało się u nas, w Polsce, artykułów, feljetonów, książek, na temat całokształtu życia w wielkim państwie Brytyjskim: jak to tam zdrowo, wygodnie i długo (90-cio latki są na porządku dziennym) żyje się ludziom; jak się pracuje w warunkach najbardziej udoskonalonych; jak wszystko zdaje się być dokonane, wykalkulowane i ku ogólnemu dobru doprowadzone do takiej perfekcji—by przy minimum wysiłku, otrzymać maximum pożytku i wygodę,—że nie mam sumienia (a może właśnie dlatego, że mam...) pisać znowu o tym ładzie-składzie, par excellence, na wyspie trzeźwego Albjonu, jeszcze raz i już niewiadomo który!

Wiemy przecież na pamięć, do najdrobniejszych szczegółów, jak to angielfka urzęduje swój najprzystojniejszy na świecie home; jak się przebiera i ubiera modnie, a wygodnie; co jada na lunch i obiad; jak do głębokiej starości uprawia wszystkie sporty polskie, prowadzi auto, bierze czynny udział w życiu publicznym, a także, oczywiście ma czas na urodzenie najpiękniejszych pod słońcem dzieci i na ich racjonalne wychowanie i kształcenie.

Wiemy. Wiemy. Czytamy o tem bez końca i przyjmujemy to wszystko do wiadomości. I czujemy się zawstydzeni, zacofani, spóźnieni, wciąż w pajs barbare, winni—bez winy...

I wiemy, że musimy się brać na pazury, śpieszyć co tchu, urabiać ręce po łokcie — aby się z tą zachodnią cywilizacją zrównać, no, i nie tylko zrównać!

Zostawiam jednak narazie na boku te wszystkie kwestje gospodarczo-obyczajowe, czy też wyłącznie kobiece, a powiem słów kilkadziesiąt w sprawie nie mniej realnej, a takiej specyficznie naszej-rodzimej.

Znowu więc, na Boga! jakaś wada narodowa? czy jakaś plaga?

Dochowaliśmy się ich szczęśliwie 1000 i jednej... no i jeszcze??

Tak. Jeszcze jedna i to taka paskudna, że najwspanialsze wynalazki XX stulecia, czy zarządzenia wszystkich naraz powstałych w Polsce odnośnych Komitetów lub Stowarzyszeń — nie usuną jej tak zaraz, na poczekaniu.

Będzie tu bowiem chodziło o rzecz cokolwiek drażliwą, tycząca się tym razem, wyjątkowo, tylko samych mężczyzn, (na szczęście, nie wszystkich w kraju!) pewnej kategorii naszych mężów, t. zw. „Panów i Władców“—a biada temu, kto kusi się obalić Majestat i podważyć wiekowe tradycje!

I ani mi się śni wywlekać na pokaz publiczny i przewietrzać wszystkich dodatnich, czy bardziej ujemnych cech przyrodzonych moich przemyłych rodaków!

Absorbuję mię w tej chwili (przez pewną asocjację) zaledwie jeden, dosyć znamienity rys charakteru pewnej kategorii *naszych* panów. Chodzi właściwie o *kulturę erotyczną* takiego naprawdę stuprocentowego polaka, a co też często idzie z tem w parze, o jego sposób bycia w domu, na codzień, u siebie, gdy nikt nie widzi, ani się nawet domyśla.

I porównać to — owo — choć trochę, troszeczkę, ze współczesną rycerskością, dajmy na to, tych utrapionych, wciąż doskonałych anglików!

Tylko porównać; o nic przecież innego — tu — chodzić nie będzie, no i oczywiście, nikogo i do niczego (hélas) takie porównanie nie zobowiąże...

— Powiadają... że *wasi* mężczyźni są jacyś wyjątkowi! Że wszędzie, zawsze i bez znużenia są pełni kurtuazji wobec płci pięknej? Powiadają, że polacy giną za kobietami, kochają się, jak opętani, adorują... — zapytuje mnie któregoś dnia młodzianka, bardziej ciekawsza lady.

— O taak!... jeżeli chodzi o tę adorację... to rzeczywiście!

Czy widziałam kiedy, by młody gentleman angielski całował w rękę kobiety zamężne, albo i starsze panie, nawet własne ciotki, matkę, babkę?

— Nie. Nigdy — tu — czegoś podobnego nie widziałam! A u nas każdą smarkatą, ledwo przekroczy piętnastkę, już i bracia, i wujkowie, i nawet sam papus—wycalowuje z upodobaniem po łapkach. A kiedy wyjdzie zamąż, stanie się to obowiązkiem, nie powita jej bowiem inaczej odtąd żaden mężczyzna. Na balu, w tramwaju, na ulicy.

— Ładny zwyczaj. Bardzo mi się podoba, i malutkie macie rączki!

— Tak. Ładny. I ręce też małe... ale na tem nie koniec! Nasi panowie psują nas poprostu komplementami! Niemordowani są. Żaden mężczyzna prawie nie minie żadnej, no, choć trochę, troszeczkę milutkiej panienki, czy kobietki, aby jej zaraz czegoś przyjemnego nie powiedzieć (aż pokraśnieje z radości), czegoś o jej oczach, o ustach, o nóżce, szyjce, albo...

— Is it not lovely!?

— Fakt. Nawet koledzy w biurach, wszyscy we wszystkich biurach do koleżanek... nawet pan szef, do takiej zgrabniejszej i urodziwszej. Musi jej zawsze coś — takiego — szepnąć, pocichu i koniecznie pocałować w rączkę... (gdy nikt nie widzi).

— Zgrabniejszej??

— Oczywiście... tylko takiej! Polacy są przecież najgorętszymi wielbicielami piękna! Dla uroczej kobiety każdy polak, o każdej chwili gotów jest popełnić niespodziewane szaleństwo: zabić rywala, ją, siebie... jeszcze gorzej!!

— Co za romantyczny kraj!.. Musi być bardzo przyjemnie z takimi mężami — oni — są wciąż u was, jak ci trubadurzy...

— O baaardzo przyjemnie...—*Oni* są wciąż u nas, jak ci...“

Rozmowa urwała się. Właściwie przerwałam ją pierwsza. Nie życzyłam sobie, bowiem, ze względów, dajmy na to, lojalnych, rozwodzić się nadal nad bardziej rasowymi przymiotami moich rodaków.

Zaiste... Jeżeli będzie chodziło o przeprowadzenie paraleli pomiędzy zewnętrzną, dosyć zresztą szczerą, afektacją polaków w stosunku do płci pięknej (zaznaczmy—naprawdę pięknej!) a zwykłą rycerską postawą mężczyzny wobec *każdej* kobiety,—brzydkiej, czy starszej,—to nigdzie chyba nie spotkamy jaskrawszej niewspółmierności, jak u nas.

Komplementy, jak z rogu obfitości: adoracja publiczna; afiszowanie się; słodkie pocałunki, składane na rękach pań, co sekundę; kwiaty — przy każdej sposobności; słowa, słowa, pachnące, jak kwiaty i uderzające do głowy, jak mocne wino...

W dodatku wszystko jedno: uchodzi, czy nie uchodzi: do cudzej żony, do narzeczonej kolegi, do przyjaciółki przyjaciela... Elegancko. Szarmancko!

A u siebie, w domu, ze „swoimi“, gdy nikt nie słyszy, ani się nawet nie domyśla... — gwałt i wrzask zaraz o byle co! Najmniejszego wyrozumienia i pohamowania się. Wolność Tomku w swoim domku!

Ze służbą, jak za czasów pańszczyzny. O jakimś wyręczeniu, posprzątaniu — nie może być mowy. Pan — obejdzie się lepiej bez niczego. Brudem — niech wszystko porośnie, a babskich czerepów, czy tam szczotek nie tknie i basta!

A jeżeli upomnienia, albo i łzy — ucieka z domu, na miasto — przepadł!

(d. c. n.).

Han. Skar.



JESZCZE O MORZU...

Słoneczny poemat wywczasów letnich przesnił się, jak sen! Nieproporcjonalnie krótkie, w stosunku do roku roboczego, chwile wytchnienia zapisały się na kartach ludzkiego bytowania jasnym uśmiechem. W tej symfonii letniej najgłośniejszy i najczęściej się powtarzający akord przypadł morskiej fali.

Pieśń Bałtyku kołysała do cichego wypoczynku zszarpane walką o byt nerwy ludzkie, sławiony przez mistrza słowa „Wiatr od Morza“ wlewał balsam w zakażone miejskim zaduchem płuca, a szum wiekowych borów, co otulają polskie wybrzeże, śpiewał kołysankę troskom, zwątpieniu i wszechwładnemu „Weltschmerzowi“, drzemającemu na dnie duszy powojennego pokolenia.

W rozkoszach kąpieli morskich, w najśłodszym dolce farniente cichego plażowania, w dalekich spacerach, w grze barw, w poświęcie księżycy srebrną łuską pancerną powierzchnię morza, — zatoneło wszystko szare i małe, przysnął nawet krytycyzm polski, ta wybitna cecha naszego społecznego charakteru.

Dzisiaj, kiedy urok przestał działać, kiedy zbrakło ożywczego powiewu, pieszczoty słońca, tęczy barw i uroku natury, — budzić się zaczyna ze snu letniego bezstronność sądu. Kąt widzenia zaostrza się, i odpada pobłażliwość, z jaką tam, na złocistym, ciepłym piasku odnosiliśmy się do wszechrzeczy.

Trzeba przyznać, niestety, że wszystko to, co związane jest z potrzebami przeciętnie kulturalnej jednostki, postarano się sprowadzić do zera na polskim wybrzeżu.

Nie wiem, po czyjej stronie szukać winy, jednak gdyby powołano mnie do ferowania wyroków, uznałabym bezwzględnie za współwinnych tych, którzy brakiem słusznych i racjonalnie ujętych wymagań powstrzymują pochód postępu na każdym kroku.

Ogólną bolączką warunków mieszkaniowych jest punkt wyjścia, jaki przyjęli sobie za credo właściciele hoteli i pensjonatów. Na wszelkie interpelacje w sprawie więcej, niż niedbałego, graniczącego z prymitywem urządzenia mieszkalnych pokoi — słyszy się zawsze jedną odpowiedź: „Któż siedzi w pokoju, spędzając lato nad morzem?“

Trudno uwierzyć, aby w kąpieliskach zagranicznych ludzie odczuwali w porze letnich wywczasów mniejszą potrzebę obcowania z naturą, co nie wyklucza balkonów, miękkich mebli, wygodnych łóżek, porządnej pościeli, bieżącej wody w każdym pokoju i łazienek, umożliwiających ciepłą kąpiel, bez której dzisiaj rzadko kto obejść się może, jeżeli już nie codziennie, to chociaż w pewnych odstępach czasu. Nie sądzę, aby ceny pensjonatów, wahające się od 14—20 złotych za dobę, wykluczyć musiały względną chociaż wygodę osobistą, sprowadzając ją do rzędu wymagań, wprost nieosiągalnych.

Powstają, wprawdzie, od czasu do czasu placówki, zbliżone poziomem do nowoczesnych wymagań, ale zaliczyć je można, niestety, do białych kruków. Większa część osób cierpi dotkliwie braki i godzi się z nimi z pożałowania godną dobroduszością.

Madejowe łoże, wyszczerbiona miednica, zużyty, wydzielający specyficzną woń, blaszany kubełek; rano garnuszek gorącej wody na osobę, kulawy, mikroskopijnych rozmiarów, stoliczek, dwa drewniane krzesła i typowa szafa, o skrzypiących odrzwiach, skarbica zatęchłej woni, — oto przeciętny obraz narzuconego nam bytowania.

Nielepiej się ma sprawa kulinarna. O zdrowe, smaczne jedzenie, umiejętnie zestawione menu, staranne nakrycie i podanie — walczyć nawet nie warto. U progu letniego sezonu trzeba powziąć niezłomną decyzję hołdowania zasadzie: „bierz to z uśmiechem“, lub wrócić niezwłocznie do czterech ścian miejskiego mieszkania.

Właściciele i kierownicy, zapełnionych z roku na rok po brzegi Domów Kuracyjnych i pensjonatów, poczuwają się, wprawdzie, do pewnych grzecznościowych obowiązków względem swojej stałej klienteli: — malują co kilka lat ściany domostw w niesamowite desenie, które w oddaleniu kilku kroków dają wrażenie plam, powstałych na tle wilgoci.

Najdziwniejszym z objawów jest destrukcyjny wpływ, jaki u nas wywiera powodzenie. Nie obowiązuje prawie nikogo. Przeciwnie wpaja niezdrową, a jak praktyka wykazuje, racjonalną wiarę w trwałą uśmiech fortuny. Gdyby taką prymitywną, niedbale prowadzoną budę, jakich jest legjon, zbojkotowano w czasie jednego sezonu — siłą faktu przedziergnęłaby się w coś chociażby zbliżonego do wymagań doby obecnej.

Tak samo rzecz się ma z estetyką i porządkiem dokoła budynków mieszkalnych. Dosyć przejść przez „ogród“ tak zwanego Starego Kurhausu w Gdyni, aby zrozumieć, że nikt nie czuwa nad szatą, w jaką oblekają się nasze miejscowości kąpielowe.

Jaskrawym dowodem niedbalstwa i lekceważenia jest kawiarnia Hotelu Kaszubskiego w Gdyni. Położona na wzniesieniu, opadającym do morza, cieszy się wyjątkowo pięknym widokiem, sąsiedztwem ogrodu, w którym codziennie odbywają się koncerty orkiestry marynarskiej, i dysponuje rozległym tarasem, na którym gromadzą się stale niezliczone rzesze ludzkie. Zdecydowane powodzenie, jakim cieszy się ten zakład, nie wpływa bynajmniej na podniesienie jego poziomu. Urządzenie niżej wszelkiej krytyki: Zniszczone, chwiejne stoliki, co dziesiąty zaledwie zasłany wątpliwą bielą obrusa, usługa niedbała, lekceważąca klientelę; naczynia brudne, że niejednokrotnie trzeba żądać umycia ich przed spożyciem posiłku, a ceny tak wygórowane, że prócz poważnych zarob-

ków mogłyby śmiało pomieścić w sobie konieczne inwestycje.

Również i sprawa dorożek samochodowych w Gdyni jest tak zwaną „sprawą, wołającą o pomstę do nieba“. Rozklekotane, stare, zużyte maszyny, opatrzone taksomierzami w celach ściśle dekoracyjnych (cenę kursu oznaczają samowolnie szoferzy), są źródłem częstych i niemiłych niespodzianek. Dosyć powiedzieć, że jednego dnia musieliśmy dwukrotnie wysiąść z auta wpół drogi, gdyż okazało się niezdolne do odbycia dalszej podróży.

Autobusy, kursujące pomiędzy Gdynią, a Sopotami, przypominające do złudzenia karetki pocztowe, jakie spotykało się na szosach naszych w czasach przedwojennych, zarabiają w pełnym sezonie 500 zł dziennie od wozu. Cyfry mówią same za siebie, i dziwić się należy, że czynniki miarodajne, wydające koncesje na eksploatację poszczególnych placówek, nie porównały dotąd autobusów naszych z obsługującymi Sopoty — Gdańsk, i, po splonięciu rumieńcem wstydu, nie wyciągnęły z tego należnych konsekwencji.

Wielka rola, jaka ma przypaść w udziale półwyspowi Hel, desygnowanemu na perłę polskich kąpielisk, wobec Gdyni, zmieniającej w szybkim tempie charakter kąpieliska na charakter typowego miasta portowego,—jak dotąd, zdaje się być pieśnią dalekiej przyszłości.

Hel, zaśmiecony i rozbijającą dziewiczy w najgorszym tego słowa znaczeniu, dźwiga na sobie piętno chaotycznej i samowolnej gospodarki. Żadnych wytycznych i żadnych ograniczeń dla przedsiębiorczości ludzkiej, która buduje baraki i budy drewniane, sprzedając w nich najpośledniejszego gatunku owoce, wodę sodową i ryby wędzone, porozkładane na wygniecionych gazetach. Ani śladu planowej pracy, dbałości o estetykę rozbudowy; ani jednego lokalu, zbliżającego się do poziomu europejskiego.

W renomowanym „Kurhausie“, który jednoczy jakoby elitę gości kąpielowych, w nieprawdopodobnie dusznej sali o zdeptanej podłodze z nierównych desek, spostrzegamy jakiegoś zrezygnowanego samotnika, który w braku innego miejsca, przysiadł przy opuszczonym przed chwilą przez grono biesiadników stole i wśród stosu talerzy, ciężkich od resztek kaszy i tłuszczem okrzepłych, smutnie zapija herbatę.

Uciążliwa wędrówka po przepaściście piaszczystych rozłogach, brak jakichkolwiek wytkniętych szlaków, śmiecie, papiery,—jaskrawy dowód, co może zrobić człowiek, w ujemnym tego słowa znaczeniu, z najpiękniejszego zakątka, uprzywilejowanego przez naturę,—działają nadwyraz przygnębiająco, a najbujniejsza nawet wyobraźnia nie jest w stanie dostrzec mirażu lepszej przyszłości.

W pierwszych powojennych latach mieliśmy na swoją obronę twierdzenie, że — na wszystko potrzeba czasu. Dzisiaj trudno już bronić się tym pustym komunałem, bo czas idzie naprzód szybkim krokiem, a dzieło stoi w miejscu. Prasa dzień po dniu przynosi odgłosy zatrważające: O zaniedbaniu Szczawnicy, o fatalnym stanie sanitarnym Krynicy, o niedoborach, nieporządkach i brakach na każdym kroku. Jako echo tych dziennikarskich informacji, rozlega się wyrzekanie i krytyka. Do odpowiedzialności pociągamy zawsze i wszędzie tylko sfery rządzące, niepomni na to, że garść ludzi, stojących u stera, nie jest zdolna przeciwstawić się nieuczciwości zawodowej olbrzymiej rzeszy ludzkiej.

Dopóki nie obudzi się w nas iskra poczucia obywatelskiego, dopóki każdy i wszyscy nie zrozumieją, że niema stanowiska, na którym nie możnaby pracować twórczo i pożytecznie, nietylko dla własnej kieszeni, ale i dla dobra kraju—musimy spotykać na każdym kroku miernotę. Całokształt wewnętrznych stosunków kraju leży w rękach naszych i tylko naszych. Na nic nie zdadzą się najenergiczniejsze zarządzenia, najszerzej zakrojone plany, jeżeli począwszy od architekta, planującego budowlę, a skończywszy na stróżu, który dba o utrzymanie porządku w pobudowanym gmachu, każdy nie spełni swego obowiązku uczciwie i ze zrozumieniem, że jest częścią wielkiej całości, odpowiedzialnej za organizację kraju.

Wybrzeże morskie zasługuje w pierwszym rzędzie na maximum wysiłku ludzkiego tam, gdzie chodzi o racjonalną gospodarkę. Bo morze jest źródłem tężyzny, zdrowia i niezastąpionej rozkoszy letniego bytowania, źródłem naszej dumy narodowej i wspólnym władcą, który nie szczędzi swoich bogactw nikomu. W hymnie odrodzonej ojczyzny najgłośniejszym akordem jest zew morza; kto go posłucha, nie zawodzi się nigdy; dowodem tego są wzrastające z roku na rok rzesze, które dążą ku słońcu i fali.

Całe wybrzeże morskie, to bogaty teren eksploatacyjny dla ludzi z inicjatywą i zamiłowaniem do uczciwej pracy. Trzeba jednak oddać je w opiekę komuś, kto zrozumie i odczuje należycie potrzeby lokalne, kto umie ster w energiczne i umiejętne dłoń i stworzy dzieło wiekopomne.

Pobudzenie do czynu ludzi fachowych, poparcie ich usiłowań, ścisła kontrola nad wszelkimi nowymi poczynaniami, stworzenie komisji, czuwającej nad artystyczną stroną rozbudowy, a przede wszystkim bezwzględne zmiatanie z powierzchni miernoty—ze strony władz przez surowe zarządzenia, a ze strony społeczeństwa przez solidarny, planowy bojkot—muszą wydać pożądane owoce i przyczynić się w krótkim czasie do racjonalnego i pomyślnego rozwoju kąpielisk polskich.

W. D



KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DC G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

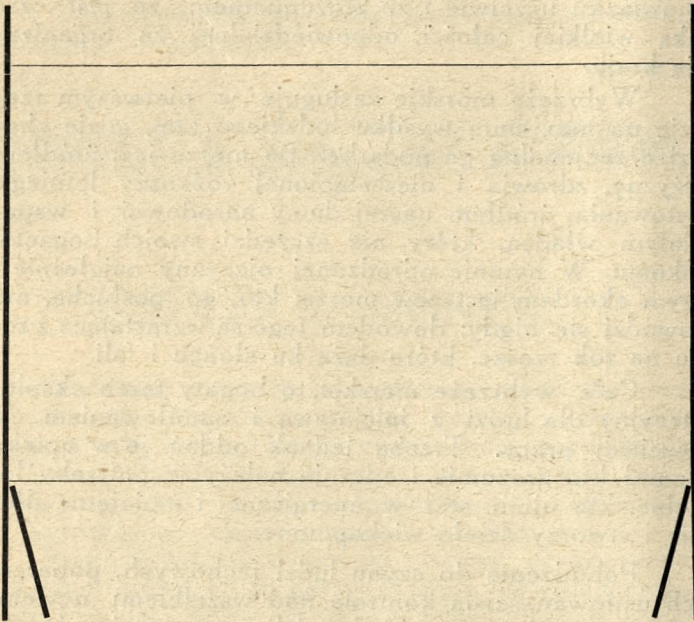
HODOWLA WINOGRON

RUSZTOWANIE

Do systemu sznurów poziomych.

Wbijamy w ziemię co 12 stóp paliki na 5 stóp długie, a na 4 cale grube.

Naciągamy dwa druty do tych palików: pierwszy na stopę od ziemi, a drugi wysoko.



Końcowe paliki, jak zwykle, podparte od wewnątrz i dobrze wbite w ziemię. Druty naciągnięte mocno, tak jak pisałam poprzednio.

W ten sposób przygotowuje się wszystkie trzy rzędy, nie wyłączając i tego od muru.

GLEBA

Winorośl lubi ziemię, obfitującą w wapno, potaż, njezbyt wilgotną, ciepłą; grunt kamienisty, żwirowaty i przenikliwy na znaczną głębokość, gdyż roślina ta zapuszcza korzenie na parę metrów w ziemię i tam potrafi sobie znaleźć pokarm, dla siebie potrzebny. Dlatego że posiada tak długie korzenie, nie nadaje się zupełnie do przesadzania; najwyżej rośliny jednoroczne można wyjąć z ziemi, o ile nie przetnie się szpadlem korzeni.

Ziemia pod wino musi być pożywna, pulchna, i w tym celu robimy regulówkę na pół metra i głębiej.

NAWÓZ

Po regulówce zaprawiamy dolki, przeznaczone na sadzenie winorośli, nawozem, obfitującym w potaż, przesypanym obficie niegaszonym wapnem; dobry jest również nawóz ptasi, na wzrost rośliny, można też dodać trochę nawozu końskiego, jako cieplejszego od innych.

Dolki zasilić popiołem drzewnym. Najlepsza jest taka mieszanina nawozów, wyżej wymienionych, w połączeniu z ziemią miejscową i częścią inspektowej.

ROZMNAŻANIE

Rozmnaża się wino zapomocą jednorocznych pędów, wyciętych jesienią, naturalnie już z paroletnich krzaków. Wybiera się pędy mocne i zdrowe, o paru oczkach; wiązuje się w pęczki, segregując gatunki, dołuje się na zimę w piwnicy w mokry piasek; naturalnie oczka muszą iść do góry, a połowę całości wsadzamy do piasku.

O ile kto nie posiada oranżerji, to trzyma takie pędy do wiosny, aby je zasztobrować w ciepły inspekt. Ale zawsze lepiej jest je pędzić w cieplarni.

JAK TRZEBA SZTOBROWAĆ

W ciepłym inspeckie, w dolnej części okna gdyż tam jest najwięcej wilgoci, wsadza się pędy, przycięte na 2, najwyżej do 3 oczek; jedno oczko idzie w ziemię, w pozycji pochylej, aby szyba nieprzeszkadzała.

Czuwać trzeba, aby zawsze była wilgoć. Okno nad pędami trzeba cieniować, dla ułatwienia, smaruje się rozczyntem wapna.

Jak tylko wyjdą młode pędy, okno się uchyla i przestaje cieniować, o ile nie przyjdą duże upały i silne słońce.

SADZENIE

Wczesną jesienią takie młode wino można już sadzić na właściwe miejsce, wykopując bardzo ostrożnie korzenie; o ile jest możność, to przynieść razem z ziemią; wtedy wcale nie choruje. Naturalnie podlewać co jakiś czas, a na zimę, po właściwym obcięciu, okryć tak jak, jest, stojąco, nie zginając do ziemi.

Sadzi się w dolki nieduże, już nawozem zaprawione, jak powyżej pisałam, i po zrobionej regulówce, rozkładając ostrożnie korzenie w formie pająkowej, aby nie zaginać takowych.

Również można sadzić i wiosną. Po posadzeniu obcina się na dwa oczka nad ziemią, o ile się prowadzi sznurowo. W „Palmete“ zaś, trzeba wyprować mocną wić, grubą choć na 1/2 cala, i wtedy takową przycina się na jesieni na 2 do 3 stóp wysokości; im grubsza, tem wyżej się tnie.

W każdy dołek wbijamy palik dosyć wysoki, i przy nim sadzimy winorośl; aby móc przywiązać doń rosnące pędy.

ODLEGŁOŚĆ

W „Palmete“ trzeba sadzić krzak od krzaka na 12 stóp, sznurowo zaś na pięć stóp.

GATUNKI WINOROŚLI:

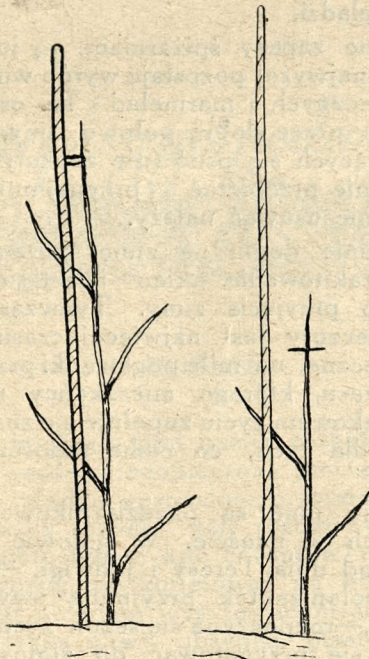
Biała—Madeleine royale.
Czarna—Frankenthaler.
Chasselas Vibert.
„ Duhamel,
„ hatif,
„ musqué,
„ doré
„ rouge
„ diament
Frankenthalskie tokaj.
Lipskie.

Wskazane w naszym klimacie, aby sadzić gatunki jaknajwcześniejsze.

CIĘCIE I PROWADZENIE SYSTEMU SZNURÓW POZIOMYCH

WIOSNA ROK 1

Mocne i ładne krzaki, posadzone na jesieni lub wiosną, przycinamy na dwa oczka nad ziemią; przy każdym musi być wbity palik.



rys. 4

Na wiosnę, gdy wyjdą z tych oczek młode pędy, to trzeba takowe przywiązać do palika.

Pozwalamy tym pędom rosnąć swobodnie do końca sierpnia, a wtedy urywa im się wierzchołek, aby wici na zimę zdrzewniały.

(c. d. n.)

Zofja Łempicka.

NOWE SPOSOBY KONSERWACJI DELIKATNYCH WARZYW

Jeżeli kto dobrze przechowuje warzywa, to będzie mógł mieć wielce urozmaicone potrawy zimową porą. Najtrudniej przechować wodniste warzywa z cienką skórką, naprz. pomidory, cebulę i t.p., które w roku obecnym bardzo obrodziły.

Pomidory często są przechowywane w dużych naczyniach szklanych, lub kamiennych i zalewane przygotowaną, ostudzoną i osoloną wodą. Radzę nalać na nią dobrego, jadalnego tłuszczu, żeby przez nią nie miały dostępu do pomidorów grzybki pleśniowe, co zawsze bywa w wodzie bez ochronnej warstwy. Można je również przechowywać w occie. Wytarte, doj-

rzałe pomidory ułożyć ściśle w czystym, kamiennym garnku i zalać mieszaniną 1 części surowego octu i 2 części przegotowanej, ostudzonej wody. Przycisnąć czystym kamieniem, lub wyparzoną deseczką i zalać płynnym, jadalnym tłuszczem. Przechowują się całymi tygodniami w świeżym stanie, i dają się obierać ze skórki, gdy je bierzemy do sałat.

Również przed samym mrozem wrywają z korzeniami całe krzaki pomidorów i zawieszają je na mocnych sznurkach w miejscu chłodnym, byle niemroźnym, korzeniami do góry, tak, żeby się wzajemnie nie dotykały. Sok z korzeni powoli przechodzi do łodyg, a następnie do owoców, przez co wiele z nich dojrzewa.

Doskonale do przechowywania, a szczególnie do przesyłania pomidorów nadaje się miał torfowy. Na dno szczelnej skrzyni sypie się parę centymetrów dokładnie wysuszonego miału, układa zupełnie zdrowe, — bez śladów uszkodzeń, zgnilizny, lub chorobliwych plamek — pomidory. Nie powinny się one wzajemnie dotykać. Po ułożeniu pierwszej warstwy, zasypuje się je całkowicie suchym torfem, układa się drugą warstwę, zasypuje torfem, dopóki cała skrzynia nie będzie napełniona. Z boków i z wierzchu zostawia się parę centymetrów miału bez pomidorów, ażeby ochraniał złożone pomidory od zmarznięcia. Jeżeli włożymy dojrzałe pomidory, to w miale torfowym dłużej się przetrzymają bez zgnicia, niż na powietrzu, a jeżeli włożyć zdrowe, niezmarznęte i niedojrzałe, to wolniej dojrzeją, niż na powietrzu, czyli będziemy je mieć dłużej do używania w świeżym stanie. Zmarzniętych, lub w jakikolwiek sposób uszkodzonych pomidorów kłaść do miału nie można, bo zgniją niewiedomo kiedy, chociaż zarażać swoich sąsiadów nie będą, bo wszystek wyciekający sok wsiąknie w torf.

Miał torfowy jest doskonałym środkiem opakunkowym dla pomidorów. Z ciepłych krajów wysyłano do Europy zimową porą świeże pomidory w rozmaitem opakowaniu, ale otrzymywano je tak silnie uszkodzone, że sprowadzanie ich nie opłacało się. Dopiero w roku 1921 otrzymano z wysp Kanaryjskich w Hamburgu zupełnie nieuszkodzone pomidory, zapakowane w miale torfowym.

Od tej pory nietylko z wysp Kanaryjskich, ale i z innych miejscowości wysyłają całe tonny, ale tylko w miale torfowym, sprowadzanym całymi okrętami z Holandji i Niemiec. Te nowe sposoby przechowywania pomidorów, oddawna stosowane zagranicą, radzę i u nas wypróbować.

Podobne dodatnie wyniki otrzymano przy przechowywaniu cebuli. Inne warzywa, naprz. pory, seletry, buraki, ziemniaki i t. p., również dobrze przechowują się w miale, ale ten sposób jest za kosztowny, więc przechowujemy je w ziemi. *inż. agr. J. Lentz.*



PAŹDZIERNIK W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Październik na wsi jest miesiącem ostatecznych zbiorów w ogrodzie warzywnym i sadzie owocowym. W zależności od dzielnicy kraju, w początku, lub w końcu października zbiera się późne gatunki jabłek i gruszek. Przy zbiorze zimowych, na długie przechowanie przeznaczonych, owoców, należy zachować szczególną ostrożność, zarówno przy zdejmowaniu ich z drzew, jak i przy przenoszeniu i układaniu ich w piwnicach, lub składach. Najmniejsze uderzenie, odgniecenie wpływa ujemnie na trwałość owocu, który należy zbierać nie inaczej, jak rękami, lub, na wyższych gałęziach, zapomocą specjalnych torebek, osadzonych na długiej tyczce. Przenosić je należy w koszach, wysłanych słomą, i układać na półkach, zasłanych tartą suchą słomą i to w taki sposób, aby sztuka do sztuki nie dotykała. Gruszki duże, szlachetnych gatunków, dobrze jest zawijać w jedwabny papier, lub chociaż zwykłą bibułkę: dochodząc tak owinięte, nabierają soczystości i zachowują cały właściwy aromat.

Po silniejszych przymrozkach należy też jarzyny wybrać z gruntu i przenieść do piwnicy, lub zakopować. Pozostaje na grzędach tylko kapusta,—która im później ją zetniemy, tem będzie bielsza i twardsza wewnątrz,—oraz te jarzyny, które mają zimować na grzędach, jak pory, lub posadzone gęsto gdzieś w zakrytych od wiatru miejscach, jak brukselka, jarmuż, kardy i t. p. Mówię tu o klimacie Mało- i Wielkopolski i Kongresówki, gdyż na kresach wschodnich żadne jarzyny, za wyjątkiem może porów, na gruncie zimować nie mogą.

Jeszcze o jednym chciałam gospodyniom wiejskim przypomnieć: o pozostawieniu specjalnie silnych egzemplarzy jarzyn na wysadki przyszłoroczne i o zebraniu ewentualnie w tym roku już wyhodowanych nasion. Kupowanie nasion jest obecnie rzeczą niezmiernie kosztowną i daje bardzo niepewne rezultaty. Ciągłe słyszymy narzekania, że nasienie źle wzeszło, bo było za stare; że ogórki, lub melony nie obrodziły, bo nasienie było za młode (należy używać najlepiej trzyletnie); że gatunki okazały się nie te, które się zamawiało i t. p. Jedynym sposobem, aby uniknąć tych niespodzianek, jest wyhodowanie nasienia w domu: będziemy wtedy pewni stopnia dojrzałości, gatunku i t. p. Na koniec października wypada też przesadzanie drzewek owocowych, dla których doły powinny być od połowy lata pokopane, — przesadzanie i dzielenie krzaków agrestu, porzeczek, malin, bzu, jaśminu i innych krzewów ozdobnych.

W kurnikach jest to czas tuczenia młodych kaponów i pulard; na indyki jeszcze zawcześniej; kaczki tuczą się w tym czasie same około stert i młocarni; gęsi żerują wybornie na rżyskach: pola i ogrody zebrane, niema więc ciągłego strachu i narzekania na szkody w nich wyrządzane. W większych gospodarstwach na kresach wschodnich jest zwyczaj,—przy końcu pasienia bydła i owiec, przed samem postawieniem ich na karm zimowy do obory,—brakować starsze sztuki i, zamiast sprzedawać je za bezcen, (gdyż jest to chwila największej taniości mięsa), solić wołowinę i baraninę w małych baryłkach do stołu, w większych—dla czeladzi. Do takich pekefleszów, przeznaczonych na stół państwa, dodaje się i kaczki, i gęsi niezbyt utuczone. Takie solone mięsi-

wa—czy to na gorąco, czy na zimno—są bardzo smaczne i stanowią doskonałe urozmaicenie jadłospisów wiejskich, nieraz nieco monotonicznych. Służba zaś i czeladź takie solone mięso znacznie chętniej od świeżego jada. Radzę usilnie oszczędnym gospodyniom przeprowadzić ścisłą kalkulację, czy się przyrządzenie takiego zapasu mięsa dla całego personelu domu i oficyny nie lepiej opłaci, niż sprzedaż kilku sztuk braków (z konieczności tańszych), miejscowym handlarzom. Mięso baranie, po lekkim zasoleniu, można ułożyć w osolony żołądek barani i uwędzić przez dni kilka w chłodnym dymie. W taki sposób przyrządzone, nawet przez całe lato będzie mogło służyć na wyborne zupy dla czeladzi.

Wszelkie zapasy spiżarniane są już przeważnie zrobione; conajwyżej pozostaje wyrób win owocowych, serków jabłecznych i marmelad. Te ostatnie można na wsi robić przez dobrą połowę zimy, używając na nie zaczynających się psuć (nie zepsutych!) owoców, które starannie przebierać i przynajmniej raz na tydzień z piwnic usuwać należy.

Opatrzanie domu na zimę, pozatykanie wszelkich szpar, zakitowanie okien—i jest się już przygotowanym do przyjęcia zimy. Tymczasem w długie, dżdżyste wieczory jest najwięcej czasu na czytanie, na roboty ręczne, na miłe pogawędki przy kominku,—spędzenie czasu, którego mieszkańcy miast dużych w ich gorączkowym życiu zupełnie nie znają, a które ma tyle uroku dla tych, co ciche radości życia cenić potrafią!

Zupełnie inne są październikowe zajęcia pań, zamieszkałych w mieście. W połowie października, przeważnie od dnia Teresy i Jadwigi, — dnia, w którym setki solenizantek przyjmują swych przyjaciół i znajomych,—rozpoczyna się sezon życia towarzyskiego. Trzeba się przygotować do zimowej kampanji. Sądzę, że niema chyba już kobiety, któraby nie doszła do przekonania, że życie towarzyskie, a ściślej mówiąc, gościnność, należy unormalizować tak, jak inne zajęcia i obowiązki domowe i społeczne. Być zawsze na usługi,—choćby najmilszych, najbardziej kochanych osób—nie sposób: nie starczyłoby czasu na nic innego. To też każdy oznaczy sobie dni i godziny w dniu, tygodniu, lub miesiącu, w których go zastąpić można. Nie mówię przez to o obowiązkowym wystawnym przyjmowaniu licznych towarzystwa. Chodzi o to tylko, żeby ta jedna, kilka, kilnaście, czy kilkadziesiąt osób, które chcą nas odwiedzić, nie traciły czasu na bezcelowe roznoszenie biletów wizytowych, nie męczyły się niepotrzebnym chodzeniem po schodach. Zwykła filiżanka herbaty, uprzejmie podana na ładnej serwetce, w gustownej filiżance, i trochę domowego, lub kupnego ciasta—zupełnie wystarczą na wizytę popołudniowej; skromne, zimne przekąski z mięsa, lub ryby i sałatki, owoców, lub kompotów—na często powtarzanem zebraniu wieczornem.

Uprzejmość i serdeczność gospodarzy powinna zastąpić dawniejsze, zbyt kożniejsze przyjęcia, na jakie dzisiaj mało kogo stać. Przygotować się jednak i do tych małych przyjęć potrzeba. Sprawdzić stan białizny stołowej i naczyń, dokompletować to, czego brak, aby nie być zmuszoną robić to w ostatniej chwili. Zrobić pewien zapas konfitur, kompotów, różnych zapasów, potrzebnych do wypieku ciast domowych: mąka, cukier, rodzenki, migdały, bakalje, korzenie, nie psują się, stojąc. Kupując w większych ilościach, ma się wszystko o wiele taniej.

Uporządkowanie ciepłej garderoby własnej i rodziny zajmuje też dużo czasu i sprawia niemało kłopotów. Futra coraz to droższe, to też te, co mamy już, należy specjalnie szanować, — pielęgnować, że tak powiem.

Nakoniec zupełne zabezpieczenie mieszkania od chłodu, kupno większego zapasu opału, zakitowanie, lub oklejenie okien i balkonów, uporządkowanie pieców przed kampanją palenia w nich, — wszystko to powinno być wykonane w październiku, bo w listopadzie już nieraz mamy dotkliwe mrozy.

Pani Elżbieta.



ROZBEF

Nasze kucharki pod nazwą rozbe fu często podają wprost twardą, niedopieczoną pieczeń; sądzą więc, że dogodzę młodym gospośiom, przypominając, jak się robi prawdziwy rozbef. Aby rozbef był dobry, należy wziąć około trzech kilo (7 funtów) rozbe fu właściwego, krzyżowej, lub kotletowej na kości. Na sześć godzin przed obiadem wyżyłować mięso, zbić je mocno, polać łyżką oliwy, obsypać plasterkami cebuli, natką pietruszki; skropić octem, lub cytryną, popieprzyć lekko, przykryć garnkiem, niech tak spokojnie stoi w pokojowej temperaturze. Na półtorej godziny przed obiadem rozpuścić łyżkę masła na brytfannie, ułożyć na to rozbef, polać tem masłem, wstawić w bardzo gorący piec i nagle mocno obrumienić, aby zatrzymać w nim cały sok. Dalej piec już wolniej, często polewając masłem, i sokiem, który z siebie puści. Piecze się od godziny do dwóch, zależnie do rozmiaru pieczeni, — powinien jednak zawsze pozostać w środku różowy, (nie czerwony) a po wierzchu powinien być dobrze zrumieniony. Na wydaniu pokrajać ostrym nożem w duże, jaknajcieńsze plastry; podać z kartoflami, bądź odgotowanymi oddzielnie, bądź upieczonemi razem i ze struganym chrzanem.

WIEPRZOWINA GOTOWANA PO ROSYJSKU

Kawał młodej wieprzowiny od łopatki, lub nie tłustego boczku, — na 5 osób 1 do 1½ kilo — ugotować z włoszczyzną; smak użyć na krupnik, lub jakkolwiek kwaśną zupę, mięso pokrajać w zgrabne kawałki, ułożyć gorące na półmisku i zalać następującym sosem: korzeń chrzanu utrzeć na tarce, posypać trochę solą, łyżeczką cukru i zalać paroma łyżkami octu. Niech tak postoi z godzinę przynajmniej, aby chrzan zbytnią ostrość stracił. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki na biało, zmieszać z chrzanem, dać ostygnąć, (nie gotować, gdyż chrzan powinien pozostać

surowy). Nakoniec dodać szklankę najlepszej, gęstej śmietany i tym gęstym, zimnym sosem polać gorącą wieprzowinę na półmisku.

KARTOFLE Z WĘDZONĄ RYBĄ

Jakkolwiek rybę wędzoną dużą, czy małą: dorsza, piklinga, szproty, lub zwyczajne, wędzone śledzie — obrać ze skórki i ości i połupać na niezbyt drobne kawałki. Na pół kilo już oczyszczonych ryby ugotować kilo kruchych kartofli, oczyścić z łupin, pokrajać w drobne talarki. Dwie duże cebule, pokrajane w takież talarki, podsmażyć, nie rumieniąc, w łyżce masła. Wysmarować masłem rondel lub nelsonkę, ułożyć rzędami kartofle i rybę, przekładając smażoną cebulą, — kto lubi ostro, może nieco popieprzyć, solić nie trzeba, gdyż wędzona ryba ma dosyć soli. Zalać szklanką śmietany, zmieszanej ze szklanką rosołu, lub wody i wstawić na 20 minut w piec, lub podduścić tyleż czasu zakryte pokrywą na zakrytej blasze. Podawać w temże naczyniu bardzo gorące.

KAPUSTA CZERWONA NA GORĄCO

Kapustę uszatkować, jak na sałatę, sparzyć wrzątkiem, przykryć, odlać, mocno wycisnąć; skropić lekko octem, posolić, dać postać godzin parę, aby nabrała koloru. Pokrajać drobnutko słoninę, roztopić ją w rondlu, włożyć na nią kapustę oraz drobno usiekaną dużą cebulę; zalać wodą tylko tyle, aby objęła, i dusić wolno, aż kapusta zmięknie, a płyn się wygotuje; zaprawić łyżką mąki, i cukrem do smaku. Na wydaniu wlać kieliszek wina węgierskiego, madery lub reńskiego, zagrzać razem i, nie gotując więcej, podać do schabu, kotletów wieprzowych, lub kuropatw, duszonych w śmietanie.

ZEFIR JABŁECZNY MROŻONY

Upiec dziesięć dużych, winkowatych jabłek, przefasować przez durszlak; wziąć tej masy dwie szklanki, dodać 3 białka, półtorej szklanki cukru i ubijać trzepaczką na lodzie, aż masa narosnie, zgęstnieje i zbieleje. Formę do lodów lub duży rondel miedziany pobielany, ze szczelnie pasującą pokrywą, wypłókać wodą, wysypać cukrem, napełnić masą jabłeczną, zamknąć doskonale; ustawić w kubie na lodzie z solą, otoczyć wkoło lodem rąbanym, na wierzch też nasypać grubo lodu, gęsto przesypując go solą. Trzymać tak nie mniej, niż sześć godzin. Przed wydaniem obetrzeć formę serwetą, zmaczaną w gorącej wodzie, wyrzucić na półmisek i podać do stołu, obłożony śmietanką ubitą z cukrem i wanilią, lub otoczony lekkimi biszkopcikami.

Pani Elżbieta.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziome i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomekwy (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.
HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

DOBRE RADY

Starajmy się nie urazić nikogo w rozmowie: jeżeli nie jesteśmy pewni, co mogłoby urazić naszego rozmówcę — mówmy lepiej o niczym — z dwojga złego lepiej być banalnym, niż złośliwym.

* * *

Pamiętajmy, że urok umysłu, wdzięk zachowania, elegancja manier, zbytek otoczenia — nie zdobędą nam tyle sympatii u ludzi — co okazana im w najskromniejszych warunkach — serdeczna uprzejmość.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu“. Redakcja „Bluszczu“ zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu“. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani S. H. — Częstochowa. Obowiązujący przeciąg czasu, według przepisów światowych, jest sześciotygodniowy. Naturalnie zależnie od uczuć osobistych, można go przedłużyć do trzech, a nawet sześciu miesięcy. Welon z georgette'y wystarczy nosić sześć tygodni, paltot, za wyjątkiem dnia pogrzebu, używa się, jaki się posiada; można dla zaznaczenia żałoby umieścić przepaskę z angielskiej krepy na prawem ramieniu.

Nauczycielce z Rzeszowa. Naszem dążeniem również jest stworzyć dla kobiet, chcących pracować, nowe placówki, gdzie ich dobra wola mogłaby być zużytkowana z korzyścią dla nich i dla kraju. Niestety, stoimy bardzo daleko poza kobietami z innych krajów; nieszczęśliwy zwyczaj lekceważenia i niedoceniań naszej pracy nie pozwolił nam odpowiednio przygotować się do niej ani rozwinąć jej zakresu. Najlepsze pomysły, najszczerze chęci rozbijają się dotąd o brak sił fachowych, o niemożność znalezienia osób, umiejących pracować. Bo nie dosyć jest chcieć, trzeba jeszcze umieć. Otóż stworzyć jaknajwiększe zastępy tych, które w każdym dziale pracy kobiecej — będą nie tylko chciały, ale i umiały — jest naszym zadaniem i najgorętszym pragnieniem. Nie sięgajmy po cudze dziedziny, nie starajmy się współzawodniczyć z mężczyzną i odbierać mu ciężko zdobyty kawałek chleba: starajmy się dopomóc mu; a ufne w swoje siły, dumne ze swojej inicjatywy, szukajmy naokoło siebie źródeł dochodu. Jest ich bez liku, tylko niedopatrzonych, lub niedocenionych. Ani jedna gałąź pracy kobiecej

nie jest odpowiednio wyzyskana, ani zorganizowana, czego najlepszy przykład mamy na wsi. Ogrody i pasieki w zaniedbaniu, hodowla drobiu przeważnie w korbce, owoce oddane na pastwę żydów-sadowników, — oto obraz smutnej niezaradności, że nie powiem — złej woli kobiecej. Smutno mi przyznać, że i w innych dziedzinach nie jest lepiej.

Otóż niech takie młode osoby, pełne zapału i dobrych chęci, o jakich Sz. Pani pisze, zrzeszają się, niech wciągają inne do swego grona, niech budzą w nich myśl, chęć do czynu, niech czytają, uczą się i pracują. Niech to, co robią — robią dobrze, a wybijają się napewno. Użyteczna i umiejętna praca zawsze się opłaca. Nie trzeba tylko żądać nadmiernych i jedynie materialnych zysków, pamiętając, że oprócz strony materialnej powinna być także i idealna, a korzyści, osiągnięte w obu kierunkach, dają dopiero, pełnię zadowolenia i pożytku. Na taką pracę, Szczęść Wam Boże moje młode Czytelniczki!

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Odpowiedź: Ewelinie i stałej czytelniczce „Bluszczu“ Włodzimierze G. Wszelkie kobiece choroby, pozornie wywołujące tylko małe dolegliwości, powinny być leczone tylko przez specjalistów chorób kobiecych. Uplawy mogą mieć przyczyny w chorobach kobiecych, jak również często pojawiają się przy chorobach ogólnie wyniszczających organizm, np. przy anemii, gruźlicy i t. d. Zbytne przepracowanie, nieodpowiedni tryb życia, nienormalne zaspakajanie stosunków płciowych, używanie środków przeciw zapłodnieniu, mogą powodować również wydzielinę śluzową z pochwy, albo wydzielinę ropną, połączone z przykrym zapachem. Trudno podać środek przeciw upławom, nie znając przyczyny. Środek ten może tylko powodować chwilowe, pozorne polepszenie. Istoty choroby nie zmieni. Szybkie udanie się do specjalisty ratuje nawet bardzo poważne cierpienia. Nie wolno się wymawiać brakiem środków: nawet najubożsi ludzie mogą się leczyć, przy dobrych chęciach, bezpłatnie. Dla należących do Kas Chorych porada, leczenie, lekarstwo, zarazem zabieg operacyjny jest bezpłatny. Kliniki uniwersyteckie oraz poradnie przy szpitalach dają możliwość korzystania z bezpłatnego leczenia. Lepiej jest wydać kilkanaście złotych na podróż, aniżeli obywać się długo bez pomocy lekarskiej. Czasem spóźniona pomoc nie daje żadnych rezultatów.

Czytelniczce „Bluszczu“ Felicji F. Kurs kosmetyki rozpoczął się w końcu września. Podania składać należy: dr. Biernacka, ul. Koszykowa Nr. 39. Kurs trwa 4 miesiące, płatne po 100 złotych miesięcznie. Uprawnia do otwarcia salonu kosmetycznego pod kierunkiem lekarza. Koszta otwarcia salonu w granicach od paru set złotych do paru tysięcy.

Kursa masażu lekarskiego są pod kierunkami Dr. Zaorskiego, kurs 4 miesięczny — koszt 100 zł. miesięcznie.

„Kasieńce“ Trudno jest ludziom nerwowym zabronić wstępować w związki małżeńskie i mieć dzieci. W razie, gdyby taka ustawa istniała, groziłaby ludzkości zagłada. Któż bowiem obecnie nie jest nerwowy? Odpowiedź o Punkt Rollerze umieszczona jest w „Kulturze Ciała“ (wrzesień).

Jednocześnie proszę przeczytać w tym samym numerze o środkach i metodach na schudnięcie.

„Potrawy i konserwy z grzybów“

SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Co trzeba wiedzieć o grzybach“

WIADOMOŚCI, NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYBÓW

CENA 1 zł 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.